

Archiwum Misyjne
Karmelitów Bosych

Biuletyn misyjny

Nr 13

**Biuletyn informacyjny o dziele Misji zagranicznych Polskiej Prowincji
Zakonu Karmelitów Bosych**

1976
Poznań

Karmelitańskie Misje w Afryce

SPIS TREŚCI:

O. Kamil Lapauw OCD – Służba świętości na rzecz Kościoła

O. Bogusław Woźnicki – kraj – w którym pracujemy

Biskup Ruhuna czeka na misjonarzy

Pożegnanie misjonarzy – Karmelitów Bosych

Wakacje naszych misjonarzy

Paczki do Burundi

LISTY MISJONARZY

List O. Józefa Trybały – 21.08.1975

List O. Józefa Trybały – Musongati 5.12.1975

List O. Józefa Trybały – Musongati 21.05.1976

List O. Bogusława Woźnickiego – Musongati 18.12.1975

List O. Bogusława Woźnickiego – Musongati 19.12.1975
List O. Bogusława Woźnickiego – Musongati 21.12.1975
List S. Zygmunt – Musongati kwiecień 1976
List S. Zygmunt – Musongati 8.09.1976
List O. Jana Kantego Stasińskiego – Musongati 24.04.1976
List O. Teofila Kapusty – Mpinga czerwiec 1976

O. Kamil Lapauw OCD

SŁUŻBA ŚWIĘTOŚCI NA DRODZE KOŚCIOŁA

część I

„Chrystus otrzymał od Boga zlecenie, aby poddał sobie naturę, a w tym zadaniu z konieczności zamyka się jedno: stworzenie już tu na ziemi sprawiedliwszego i bardziej ludzkiego świata. Rzeczywiste chrześcijaństwo odrzuca takie np. pojęcie, że jedna część ludzi urodziła się do ubóstwa, a druga do bogactwa... Nie! niesprawiedliwość wśród ludzi jest to nasz problem, który my jako ludzie mamy obowiązek rozwiązać. Chrystus nie chce ani ciemnych, ani ciemionych. On życzy sobie, abyśmy byli wszyscy równi, abyśmy znajdowali się wszyscy na jednej płaszczyźnie, na której możemy być ludźmi, ani nie odczłowieczonymi przez nędzę, ani nie nadludzkimi przez bogactwa”¹.

Te słowa brazylijskiego arcybiskupa Olinda i Recife określają w krótkiej formie najbardziej palące życzenia naszych czasów, które zjednoczyło wielu zaangażowanych chrześcijan. Czyż to nie jest – mówiąc delikatnie – anachronizm, stawiać jako wzór dla naszego posoborowego Kościoła, mniszkę ściśle klauzurową z ubiegłego stulecia, młodą dziewczynę, która marzyła o tym, że po swojej śmierci będzie spuszczać deszcz róż?

Duchowy horyzont św. Teresy z Lisieux wydaje się być z gruntu różny od założenia naszych czasów. Ona była nastawiona na życie po tamtej stronie; troszczyła się o uświęcenie kapłanów, o ratowanie dusz, chciała sprawiać radość Bogu i pouczać innych, aby Boga kochali, chciała „rzucić Mu do stóp Królestwo serc”². Natomiast nigdzie nie ma ani jednego słowa o zaangażowaniu socjalnym, o sprawiedliwym podziale dóbr ziemskich, o walce z analfabetyzmem, o przewyciężeniu dyskryminacji mniejszości lub całych ras. Cóż może jeszcze powiedzieć naszym czasom – czysto kontemplacyjna mniszka, która oddalona od świata, obca światu żyła w klasztorze kontemplacyjnym? My potrzebujemy dzisiaj ludzi, którzy przynagleni Chrystusową miłością ku wszystkim ubogim, opuszczonym,

1 Dom Helder Camara

2 List do ks. Belliere 25.04.1897

pozbawionym praw, uciśnionym – wstawiają się za lepszym światem; to Matka Teresa z Kalkuty, Dom Helder Camara, Ernesto Caldenal są świadkami radosnego posłannictwa, jakiego dzisiaj potrzebujemy. Czyż więc nie jest dzisiaj nie tylko nieaktualne, ale nawet szkodliwe, wdać się w ideologię tak obcą rzeczywistości jak ta, którą nam podaje Teresa z Lisieux? Ona zagraża przecież socjalnemu i politycznemu pogotowiu. Takie jest mniemanie dużej liczby dzisiejszych chrześcijan.

Co powinno się na to odpowiedzieć?

Istotnie, w duchowości Małej Świętej brakuje świadomej odpowiedzialności za polepszenie materialnej egzystencji Trzeciego Świata. Lecz czyż nie jest to prawdą, że rozpacзлиwa sytuacja dwóch trzecich ludności dopiero od ostatnich 20 lat obciąża sumienie chrześcijan? Teresa z Lisieux, jak i jej współcześni – miała tylko nieokreślone pojęcia o „biednych dzikich” i troszczyła się jedynie o ich wieczne zbawienie. Czyż powinno się robić Jej zarzuty z tego powodu? Także święci są dziećmi swojej epoki, także charyzmatycy nie obejmują wszystkich aspektów posłannictwa Chrystusowego, a mimo to dar łaski każdego z nich służy zawsze całemu Kościołowi i może stać się światłem, które w ciemnym czasie ukazuje drogę. Drogę, którą jest Chrystus i która prowadzi do Ojca. Skoro po tym ostatnim Soborze, Kościół stał się bardzo świadomym swych zadań względem świata i wypełnia je z wzrastającą siłą, to stąd wynika przecież jego specyficzne posłannictwo. Ma on nie tylko troszczyć się o lepsze i sprawiedliwsze środki do życia dla wszystkich ludzi, lecz w pierwszym rzędzie o ich wieczne zbawienie w Królestwie Chrystusowym, w którym przede wszystkim Bóg będzie uwielbiony i kochany.

Właśnie tę fundamentalną i niezastąpioną misję Kościoła i każdego z ochrzczonych ukazuje Teresa z Lisieux w pełnej jasności przez swoje pisma, a jeszcze więcej przez swoje życie i śmierć. Ona byłaby wprawdzie z pewnością potwierdziła dzisiejsze otwarcie się Kościoła na świat i objęłaby swoimi modlitwami świadomie i odpowiedzialnie problem nędzy tak wielkiej części ludzkości, jak to Sobór zaleca zakonem kontemplacyjnym; lecz Jej apostołski żar dosięgał głębiej i istotniej, Jej misjonarski zapał przełamywał przeszkody miejsca i czasu, aby w modlitwie podnieść świat i przynieść go Bogu w miłości Jezusa. Uprzytomnienie sobie apostołskiego posłannictwa Świętej z Lisieux może nam dać znowu jasne spojrzenie na zbawcze posłannictwo Kościoła i każdego chrześcijanina i wyprowadzić nas z nieco niewyraźnej wspólnoty ludzkiej w sferę nowego przykazania Chrystusowego.

Zbawcze posłannictwo św. Teresy

A więc istotne posłannictwo kontemplacyjnej mniszki z Lisieux nie leży na płaszczyźnie materialnego budowania sprawiedliwszego i piękniejszego świata, a także nie polega na socjalnej czy charytatywnej działalności. Jej powołanie było czysto duchowe. Jej misja, którą Ona przez działanie Ducha Świętego odczuwała w swoim sercu, odnosiła się wyłącznie do zbawienia ludzi. Czysto duchowe były także środki, którymi się posługiwała: modlitwa, ofiara i przede wszystkim miłość ku Bogu, w której obejmowała Ona wszystkich

ludzi, jakich Bóg Jej powierzył. Płonęła „ową miłością Boga i ludzi, która jest duszą całego apostołstwa”³. Jej powołanie, aby być „Apostołką Apostołów”⁴, można całkowicie wypowiedzieć przytaczając tekst z Dekretu o Apostołstwie Świeckich: „Kościół powstał do życia w tym celu, by szerząc królestwo Chrystusowe po całej ziemi ku chwale Ojca, uczynić wszystkich ludzi uczestnikami zbawczego odkupienia i by przez nich skierować cały świat rzeczywiście do Chrystusa. Wszelka działalność Ciała Mistycznego zmierzającego do tego celu nazywa się apostołstwem, które Kościół sprawuje poprzez wszystkie swoje członki, jednak na różne sposoby; powołanie bowiem chrześcijańskie jest z natury swojej również powołaniem do apostołstwa.”⁵

Teresa już na długo przed Soborem Watykańskim II wiedziała, że jest powołana, aby jako żywy członek Kościoła, ze wszystkich sił, jakie otrzymała z łaski Stworzyciela i Odkupiciela, przyczyniać się do wzrastania Kościoła i jego ustawicznego uświęcania.⁶

Spróbujmy teraz prześledzić u Teresy kiełkowanie, wzrost i dojrzewanie tego kontemplacyjnego apostołstwa. Ten proces rozwijania się chrześcijańskiego powołania ujawni nam, jak każdy z nas może wypełnić to powierzone mu w Kościele zbawcze posłannictwo względem całego świata.

Dzieciństwo i wczesna młodość

Doświadczenia psychologii głębi ukazują nam, jak decydujące znaczenie dla życia człowieka mają pierwsze lata jego życia. U Teresy, która wzrastała na łonie głęboko wierzącej rodziny, występuje to bardzo wyraźnie. Ludwik i Zelia Martin przeżywali swe małżeństwo bardzo świadomie, ze spojrzeniem zwróconym na Boga. Wprawdzie początkowo marzyli oboje o życiu zbliżonym do klasztornego, ale to się zmieniło, gdy przyszły dzieci. „Żyliśmy tylko dla nich – pisze matka do swojej dorastającej córki Pauliny – i to było całe nasze szczęście. Nic nie było dla nas ciężkie; świat już nam nie ciążył. Dla mnie dzieci były najpiękniejszą treścią życia, dlatego chciałam mieć ich dużo, aby je wychować dla nieba.”⁷ Otoczone delikatną miłością, mając przed oczyma przykład pobożnych rodziców, uczyły się dzieci już od wczesnych lat ofiarowywać po przebudzeniu serce Bogu, modlić się za innych, czynić dobrze ubogim, składać drobne ofiary. W pełnym humoru liście donosi pani Martin o „aktach”, które Beniaminek liczy na specjalnie do tego przeznaczonej koroneczce z perełek⁸. Były to małe przewyciężenia, do których czteroletnia Terenia przykładła się za przykładem starszych sióstr. Co można myśleć o tej pedagogicznej metodzie: dla przyszłej

3 LG 33

4 Por. Dzieje duszy

5 DA 2

6 Por. LG 33

7 List Zelii Martin do Pauliny, 4. 03. 1877

8 Por. List do Pauliny

karmelitanki była ona mocną zachętą, aby już wcześniej opanować siebie i tak upraszać u Boga łaski dla innych.

Już od drugiego roku życia myślała Teresa o tym, że kiedyś będzie zakonnica. Jednakże dopiero w dwanaście lat później obudziło się w niej pragnienie pracy nad nawróceniem grzeszników. Pan Bóg posłużył się do tego niepozornym przypadkiem, ale już od tego czasu rozumiała młoda panienka, że „nawet najmniejsze zdarzenia naszego życia są kierowane przez Boga⁹.” Z książki do nabożeństwa wysunął się nieco obrazek tak, że widoczną była ręka Pana Jezusa Ukrzyżowanego. „Uderzył mnie widok Krwi, która spływała z jednej z Jego Boskich rąk. Ogarnął mnie wielki smutek na myśl, że ta Krew spada na ziemię, a nikt nie kwapi się, by ją przyjąć; postanowiłam więc trwać w duchu u stóp Krzyża i przyjmować tę Boską rosę, która z Niego spływa, z tym przeświadczeniem, że mam ją potem wylewać na dusze... Nieustannie rozbrzmiewało w mym sercu wołanie Jezusa na krzyżu: ‘Pragnę!’ Te słowa rozpały mnie żarem nieznanym mi dotąd i gwałtownym... chciałam dać pić memu Umiłowanemu i czułam równocześnie, że mnie pali p r a g n i e n i e dusz... W tym czasie nie pociągały mnie jeszcze dusze kapłanów, lecz wielkich grzeszników, paliło mnie pragnienie wyrwania ich z wiecznych płomieni...”¹⁰

Od tego momentu wiedziała Teresa, że jest osobiście powołana na „łowcę dusz”. Troska o innych uwalniała ją od kręcenia się wokół siebie i uczyniła szczęśliwą. Wkrótce nadarzyła się inna sposobność, aby dać świadectwo nowej łasce. Pobożne uczucia Teresy zajmował wtedy Pranzini, który był skazany na śmierć za trzy morderstwa: „Chciałam za wszelką cenę nie dopuścić do tego, by poszedł do piekła i wykorzystałam w tym celu wszystkie dostępne środki... Chcąc dodać sobie odwagi do modlitwy za grzeszników, mówiłam dobremu Bogu, że ufając niezłomnie nieskończonemu miłosierdziu Jezusa, jestem najzupełniej pewna, że przebaczy biednemu nieszczęśnikowi Pranziniemu... jednak proszę o znak skruchy... jedynie dla zwykłej mojej pociechy. Moja modlitwa została wysłuchana dosłownie... Pranzini bez spowiedzi wstąpił na szafot i gotował się do włożenia głowy w ponury otwór, gdy nagle poruszony niespodziewanym natchnieniem, odwrócił się, chwycił Krucyfiks podany mu przez kapłana i trzykroć ucałował Jego święte rany... Otrzymałam ‘znak’, o który prosiłam, a znak ten był wiernym obrazem łask, przez które Jezus pociągnął mnie do modlitwy za grzeszników... Od tej łaski jedynej w swoim rodzaju moje pragnienie ratowania dusz wzrastało z każdym dniem. Zdawało się, że słyszę Jezusa mówiącego do mnie, jak do Samarytanki: ‘Daj mi pić’. Była to prawdziwa wymiana miłości: duszom dawałam Krew Jezusową, a Jezusowi ofiarowywałam te same dusze ożywione Boską rosą. Sądziłam, że w ten sposób ugaszę Jego pragnienie; im więcej dawałam Mu pić, tym bardziej wzrastało równocześnie pragnienie mojej biednej małej duszy, a to żarliwe pragnienie dawał mi On, jako najśodszy napój swej miłości...”¹¹

9 List do Ks. Roulland, 1. 11. 1896

10 Pisma, t I

11 j. w.

Misjonarka czy karmelitanka?

Postanowienie dwuletniej Teresy, że tak jak jej ukochana siostra, będzie kiedyś zakonnicą, miało zapewne swe źródło w przykładzie Pauliny, którą Teresa podziwiała. Pan Bóg posługuje się zazwyczaj przy takich powołaniach ludzkimi przykładami. Tęsknota za oblubieńczym oddaniem się Chrystusowi stawała się w latach dziecińczych coraz głębsza i bardziej nagląca. Z pewnością przyczyniły się do tego swym wpływem Jej starsze siostry. Jednakże już jako dziewięcioletnia dziewczynka, Teresa wiedziała bardzo dokładnie, że wybierze Karmel tylko dla samego Jezusa. „Wydawało mi się, że Karmel jest tą pustynią, na którą i mnie Pan Bóg wzywa, bym się w niej ukryła...Przeświadczenie o tym było tak mocne, że usuwało z serca wszelką wątpliwość... To nie było marzenie dziecka, które łatwo daje się innym pociągnąć, ale pewność wezwania Bożego”.¹²

Przecież później, w latach większej dojrzałości, gdy zapłonął w niej żywy zapal apostołski i pragnienie ratowania dusz, przemyślała Teresa bardzo gruntownie i rzeczowo swoje powołanie. Celina daje nam o tym wiadomość: „W czasie okresu naszej podróży do Rzymu – Teresa miała wtedy dopiero 14 lat – przeglądała ona stronicę ‘Roczników Sióstr Misjonarek’, przerwała jednak bardzo prędko swą lekturę i rzekła do mnie: Nie chcę dalej czytać. Już teraz czuję bardzo gwałtowne pragnienie, aby zostać siostrą misjonarką. Do czegoż by to doprowadziło, gdybym podsycala się opisami tego apostołatu? Ja chcę być karmelitanką. Wtedy wyjaśniła mi, dlaczego powzięła tę decyzję: aby w jednostajności życia jeszcze więcej cierpieć i przez to uratować więcej dusz.”¹³

W świadectwach do procesu beatyfikacyjnego zeznaje także Celina, że Teresa uważała życie zakonne za najodpowiedniejszy środek do ratowania dusz. Przez pewien czas myślała wprawdzie o tym, aby udać się na misję. Jednak już przed wstąpieniem do Karmelu wiedziała jasno, że najcięższą rzeczą dla naszej natury byłoby pracować, a nigdy nie oglądać owoców swych wysiłków, pracować bez zachęty, bez jakiejś ulgi, i że najbardziej nużącą pracą jest przede wszystkim praca nad samą sobą, staranie się, aby dojść aż do całkowitego zwyciężenia siebie. Ta młoda dziewczyna, której matka była dzielną kobietą interesu, nauczyła się więc już wcześniej niebiańskiej sztuki rachowania. Została wciągnięta w tajemnicę Boskiego planu zbawienia: *In cruce salus* - zbawienie przychodzi przez krzyż. Dlatego zdecydowała się na ukryte życie w Karmelu.

c. d. n.

KRAJ - W KTÓRYM PRACUJEMY

Wrażenia z podróży do Burundi

12 Dzieje duszy

13 Wspomnienia Celiny Martin „Moja siostra Teresa”

Burundi! Kraj, o którym w Polsce prawie nikt nie słyszał. Do roku 1874 na mapach afrykańskich widniała tam biała plama. Dopiero słynne podróże Livingstone i Stanley'a uczyniły go sławnym.

W porównaniu z Kongo czy Sudanem, jest bardzo mały, jeden z najmniejszych w Afryce, ale za to najgęściej zaludniony, bo na km² przypada 120 mieszkańców, co jak na stosunki afrykańskie jest absolutnym rekordem!

Od wschodu i południa graniczy z Tanzanią, od północy z Rwandą, od zachodu poprzez jezioro Tanganika, z dawniejszym Kongo, a dzisiejszym Zairem. Na 27.834 km² zamieszkuje 3.772 tysiące czarnych i około 3.000 białych. Od roku 1971 ten nieznany dotąd kraj jest nam szczególnie drogi, gdyż pracują tu Ojcowie Karmelici Bosi z Polski.

Założyciel naszej misji w Burundi, O. Leonard Kowalówka, wybrał ten kraj dlatego, że pomimo, iż leży prawie na samym równiku (2 stopień szerokości geograficznej południowej), ma klimat zbliżony do naszego w Polsce oraz w porównaniu z innymi afrykańskimi krajami, gdzie dość często zmieniają się rządy, Burundi do roku 1972 nie przeżywało krwawej rewolucji, chociaż i tu kilkakrotnie zmieniały się rządy, a nawet ustrój, ale o tym niżej.

Tymczasem naszych młodych misjonarzy, na samym wstępie czekała wyjątkowa i ciężka próba misyjnego powołania. Byli świadkami niezwykle straszliwych i krwawych zająć, które wstrząsnęły całym krajem i przeraziły świat! W przeciągu 6 miesięcy zginęło 350.000 niewinnych ludzi, czyli prawie 10% ludności kraju.

Dziś, na szczęście, panuje tu spokój, tylko w rzekach i jeziorach przybyło krokodyli, gdyż przez szereg miesięcy miały dodatkowy żer!...

W szkole znowu razem uczą się dzieci Hutu i Tutsi, znowu razem, te dwa szczepy, w wigilijną Noc Bożonarodzeniową tańczyły przy ognisku, razem przystępowali Tutsi i Hutu do Komunii świętej w czasie Pasterki...

Nieufność wzajemna trwa jednak dalej. I trwać chyba będzie dotąd, dopóki 13-procentowa mniejszość będzie rządziła 86-procentową większością. W zasadzie nie przeszkadza to naszej pracy, gdyż katolicy rekrutują się z Tutsi i Hutu, a w katechumenacie są jedni i drudzy, ale trwały pokój na pewno bardziej jeszcze zmobilizowałby naszych misjonarzy do jeszcze intensywniejszej pracy. Trwały pokój w Burundi może zagwarantować współdziałanie Hutu w rządach krajem, ale na to misjonarze nie mają żadnego wpływu.

Gdzie źródło tego konfliktu?

Rolnicze plemię Hutu, należące do grupy etnicznej Bantu, szeroko rozgałęzionej w Centralnej Afryce, w XVI wieku zostało ujarzmione i opanowane przez Tutsi, pasterzy z Etiopii, którzy w poszukiwaniu źródeł Białego Nilu, zatrzymali się w swoich wędrownych w wyżynnej krainie między jeziorami Wiktorii, Kivu i Tanganika, bo znaleźli tutaj doskonałe warunki hodowli bydła. Są tutaj doskonałe pastwiska i nie znana jest mucha Tse-tse.

Tutsi wytworzyli uprzywilejowaną kastę, czarną arystokrację, Hutu siłą faktu stali się plemieniem lenniczym. W ciągu długich wieków, wzajemne stosunki układały się nie tylko z pozycji siły: zwycięzca i zwyciężony, rządzący i rządzeni, ale także we wzajemnej asymilacji. Tutsi bronili kraju przed napadami ościennych plemion, kojarzyły się międzyplemienne małżeństwa.

Stan spokojnego współżycia trwał do roku 1903. W tym roku Burundi i sąsiadująca z nim Rwanda stały się koloniami niemieckimi. Rządy kolonialne wpłynęły na zmianę

struktury gospodarczej krajów podbitych. Źródłem bogactwa stała się przede wszystkim kawa brazylijska, która tutaj po dziś dzień stanowi główne bogactwo kraju. Hodowla bydła straciła na znaczeniu. Właścicielami plantacji stali się bardziej operatywni Tutsi, Hutu najemnikami, często niemiłosiernie wyzyskiwanymi przez plantatorów.

Po II wojnie światowej, Burundi, podobnie jak inne kraje afrykańskie, przygotowywało się do uzyskania niepodległości. W roku 1957 utworzyło się ugrupowanie polityczne pod hasłem: Jeden Bóg, Jeden Król, Jeden Naród, tzw. Uprona, od początkowych słów francuskich: UNite-PROgres-NAtionale. Założycielem tej partii był syn panującego wówczas króla Mwamabusta IV, Luis Rwangasore, który był bardzo dobrym człowiekiem, katolikiem, absolwentem Sorbony, dobrym ekonomistą, znakomitym politykiem! Pragnął przekonać naród, którym w przyszłości miał rządzić, że w wolnym kraju nie może być miejsca na dawne plemienną zależność i plemienny wyzysk!

Po uzyskaniu niepodległości w roku 1962, stanął na czele utworzonego przez siebie rządu, dążąc do rozładowania napięć plemiennych przez powołanie do udziału w rządach przedstawicieli Hutu. Niestety, po kilku zaledwie tygodniach od objęcia rządów, zginął zamordowany skrytobójczo z rąk fanatycznie nastawionych Tutsi. Od tego czasu mnożą się zamachy, rząd zmienia się wielokrotnie. W roku 1966 zdeponizowano króla Mwambustę IV. Władzę objął jego młodszy syn, brat Louisa, Charles jako Ntare V. Po trzech miesiącach usunął go płk Micombero, przekształcając Burundi w republikę, a sam ogłosił się Ekscelencją Prezydentem! I on usiłował włączyć do rządu przedstawicieli Hutu, co spowodowało niesnaski w łonie rządu. Zdeponizowany Ntare V wyjechał do Europy. W obawie, że zdeponizowany król może działać na szkodę republiki, podstępnie sprowadzono go do kraju (gwarantując nietykalność jego osoby). Ledwo wylądował w Gitega, został zastrzelony. Zamordowanie Ntare V, było iskrą na beczkę prochu. Hutu zbuntowali się i rozpoczęła się wojna domowa, która, jak wspominałem, pochłonęła 250.000 ofiar. W zbiorowych morderstwach brała udział ludność cywilna. Zaciekłość doszła do tego stopnia, że np. w Bujumbura uczniowie zabijali swoich kolegów, studenci swoich profesorów i kolegów, a nawet chorzy w nielicznych szpitalach ranili się wzajemnie.

W bratobójczej walce zginęła wszystka ucząca się młodzież Hutu, ponad 2.000 katechistów, 7 czarnych kapłanów, 11 lekarzy i jeden jedyny pisarz Yohani Rwanga. Około 50.000 przekroczyło granice Tanzanii i Rwandy, a ponad milion matek, wdów i sierot po zabitych synach, mężach i ojcach cierpi niedostatek, a nawet umiera z głodu. Ci wszyscy potrzebują pomocy. Owszem, można by im pomóc, gdyby nie fakt, że rządząca kasta patrzy krzywym okiem na nas misjonarzy, którzy powodowani miłością, w naszych skromnych możliwościach, śpieszymy z pomocą dzieciom i wdowom po zabitych. Z tego powodu na rok musiał opuścić kraj O. Klaudiusz, który szczególnie opieką otaczał sieroty pomordowanych katechistów w Mpinga. Miała też poważne kłopoty S. Zygmunta, gdyż zatrudniała w ośrodku zdrowia wdowę po zabitym nauczycieli w Musongati.

Na szczęście misjonarz, to człowiek, który nie łatwo się zniechęca. Misjonarz – to człowiek, który wyznaje zasadę, że nigdy nie jest tak źle, by nie mogło być gorzej oraz, że nigdy nie jest tak dobrze, by nie mogło być lepiej! Misjonarz, w pojęciu czarnego brata – to człowiek, który czyni dobrze. A gdy nie może pomóc, to się przynajmniej uśmiecha, bo jak mówi ich burundzkie przysłowie mały uśmiech białego, ociera wielkie łzy czarnego! Odrobina dobra wyświadczona przez misjonarza czarnemu, wywołuje żywy oddźwięk w ich

sercach. Sam słyszałem, jak nasi parafianie w Mpinga, obdarowani z okazji Świąt Bożego Narodzenia, dziękowali O. Klaudiuszowi, prokuratorowi w naszej misji, gorącymi jak afrykańskie słońce słowy: Urrakavyarra umupfu – obyś czarownika urodził biały człowieku! Wspomniałem wyżej o S. Zygmuncie. To prawdziwa perła naszej misji w Musongati. Mama Kazeba. Siostra Słoneczko. Tak ją wszyscy nazywają, lekko zniekształcając jej nazwisko: Kaszuba!

Złożyłem jej osobną wizytę w ośrodku zdrowia. Czekają na nią około 250 chorych. Trąd, malaria, tyfus, zapalenie okostnej, skorbut, flegmona, passikar, choroby przewodu pokarmowego, egipskie zapalenie oczu, oto przypadłości przeze mnie dostrzeżone, z którymi cierpliwi pacjenci zwracają się do swojego „Słoneczka”, a to „Słoneczko”, gdy nie może pomóc, to przynajmniej ślicznie się do nich uśmiecha, no, bo uśmiechem Mama Kazuba, nie tylko osusza łzy, ale chyba i rany goi!

Szopa, nazwana szumnie ośrodkiem zdrowia, to zwyczajny szałas ulepiony z niepalonej cegły, pokryty słomą trzciniową. Weranda na eukaliptusowych palach chroni przed prostopadłymi promieniami afrykańskiego słońca. Wewnątrz trzy pomieszczenia. Sala przyjęć, sala zabiegów i dobudówka wzniesiona rękami pracowitych braci misjonarzy: Marcelego i Sylwestra, zwana szumnie „Maternite”.

Chorzy, którzy nie mogą się pomieścić na werandzie, czekają na rozległym dziedzińcu, który tworzą: urząd gminy, więzienie, ośrodek zdrowia i mały szpitalik, w którym przebywały dwie rodziny, chore na tyfus. Bracia misjonarze zrobili dla chorych łóżka, ale czarni, nawet ciężko chorzy wolą leżeć na ubitej glinie, jak na łóżku. Chorzy są na własnym wikcie. Widzę, jak ciężko chora matka gotuje pataty, czyli słodkie kartofle dzieciom i mężowi. Kuchnia na zewnątrz szpitala dymi, ale, że pali drzewem eukaliptusowym a nie nawozem zebu, więc da się wytrzymać! Cały dziedziniec jest wysadzony fantastycznie pięknymi drzewami i kwiatami. Ponieważ w Burundi jest teraz wiosna, więc wszystkie cudnie kwitną. Żółto i niebiesko – mimozy, bordowo – japońskie róże, które tutaj są tak wielkie jak nasze przydrożne wierzby. Uroku tym wspaniałym kwiatom dodają umieszczone w ich kielichach afrykańskie kolibry, nawet eukaliptusy, które nie odznaczają się jakimś wyróżniającym się kwiatem, są ozdobione gniazdami remizów. Zawieszane na cienkich gałązkach, z daleka wyglądają jak japońskie chryzantemy. Kwitnie kilka gatunków grochowców o kwiatach podobnych do naszego pachnącego groszku. Na klombach lwie paszcze, werbena różnobarwna i olbrzymie kany. Nad wejściem do „Maternite” kwitnie ozdobny maniok, czyli płaczący eukaliptus. Jego amarantowe kwiaty, podobne do ludzkich łez, zwisają na wiotkich konarach, są symbolem afrykańskiej niedoli.

Na tle bogatej, afrykańskiej flory, jakże tragicznie wyglądają pacjenci S. Zygmunty, wyciągający zniszczone trądem kikuty rąk, z prośbą o ratunek.

Doprawdy, biedny jest tutejszy człowiek, chociaż Burundi w folderach nosi dumną nazwę: Raj w sercu Afryki „L’Eden au coeur d’Afrique. Inni znowu, urzeczeni niebywałym i niepowtarzalnym pięknem tego zakątka świata, nazywają Burundi „Suisse d’Afrique” – Szwajcaria afrykańska. Spotkałem się również z powiedzeniem: „Un paradis sur terre” – Raj na ziemi. Niestety, w tym rajku żyją ludzie raczej smutni, chociaż tak dzieci jak i starsi ślicznie się do mnie uśmiechają. Opowiadali mi ojcowie misjonarze, tak nasi jak i belgijscy, że ludzi tych cechuje jakieś niewytłumaczalne nastawienie. Często da się słyszeć jak mówią, że jeżeli

nie da się poprawić losu, to widocznie Bóg tak chce, ale jeśli Bóg tak chce, to nie ma potrzeby przejmować się i trudzić, bo nasza praca i tak losu naszego nie zmieni.

O. Leonard, w czasie wojny domowej ostrzegał jednego z nauczycieli, by ukrył się, bo jutro mają po niego przyjść, żeby go aresztować i zabić. Radził mu ukryć się, aby przeczekał. Obiecał mu nawet pomóc przeżyć trudne dni. Wówczas usłyszał w odpowiedzi, że widocznie Bóg chce, żeby umarł. I nie uciekał. Na drugi dzień zabrali go żołnierze i zabili!

Żyją również w stałej obawie przed złymi duchami. Boga kochają na swój sposób i mówią: My wiemy, że Bóg jest dobry. Nikomu nie szkodzi, więc nie ma potrzeby modlić się do Niego. Niebezpieczny jest natomiast zły duch. Jemu zatem należy składać dary, by nam nie szkodził. I składają! Z najlepszego mięsa, z dobrego piwa, z sorgo, manioku, patatów. A czarownik jak kot, przychodzi nocą pod szałas specjalnie zbudowane na dary ofiarne, zabiera i zjada. A czarni cieszą się, że będą mieli dłuższy czas spokoju, bo zły duch nie pogardził ofiarą.

Osobny rozdział afrykańskiej nędzy – to kobieta.

Jest traktowana jak rzecz. Jest przedmiotem handlu między dwoma rodzinami. Należy do mężczyzny, który ją kupił u jej ojca, dając za nią krowę, 4 motyki, 100 papierosów i 50 butelek piwa. Nikt się jej nie pytał, czy tego kogoś kocha, czy się jej podoba! Ale każda dziewczyna marzy o zamążpójściu, chociaż wie, że od dnia ślubu czeka ją udręka, o jakiej tu w Europie nie mamy pojęcia. Przełożony naszej misji w Musongati, określił małżeństwo czarnej kobiety, jako zgodę na nieszczęście posiadania męża za szczęście posiadania dzieci!

Władza ojca sięga bardzo daleko. Nie tylko dziewczyna nie może sobie wybrać męża, ale nawet dorosły syn musi pytać ojca o pozwolenie na pojęcie żony, którą zresztą wybiera mu ojciec. W Musongati pracuje dwóch czarnych chłopców. Jeden jest już żonaty, drugi, Libertus, był jeszcze kawalerem. Upatrzył sobie urodziwą dziewczę i poprosił O. Przełożonego o pożyczkę na kupno działki i budowę domu. O tym wszystkim napisał do swego ojca. Po paru miesiącach ojciec odpisał mu tak: Dom to ty możesz sobie budować, pożyczkę też możesz wziąć, jeśli ci ją dadzą, ale żonę dla ciebie to wybiorę ja. Ja jestem przecież twoim ojcem, a ty moim synem. I biedny Libertus musiał się podporządkować woli ojca, bo chociażby wziął tę dziewczynę, która mu się podoba, to by rodzina zaszczuła na śmierć niechcianą synową. A sposobów mają wiele.

Dziecko natomiast jest wielkim skarbem. Matka nigdy się z nim nie rozstaje. Idzie z nim po wodę, często parę kilometrów, idzie z nim do kościoła, trzyma je na plecach w czasie ciężkiej pracy na roli. Obija się malec o jej boki w czasie mielenia sorgo. Na pytanie, dlaczego nie ułoży dziecka na ziemi, popatrzyła na mnie tak jakoś dziwnie i powiedziała prawie z wyczuwalnym żalem: Biały człowieku, nie wiesz co mówisz! Przecież moje maleństwo złożone na trawie mogłaby ukąsić jadłowita żmija lub pogryźć mrówki ludojady, albo mogła by mi małpa porwać i do dżungli uprowadzić!... Bliźnięta jednak są witane bez entuzjazmu. Traktuje się je jako dopust Boży. Paganie nawet jedno zabijają. Dlatego przyjaciółom życzy się: Kamwe, Kamwe – obyś miał po jednym dziecku!

A jest tych dzieci chmara. W każdej rodzinie 8-ro lub 10-cioro. Zapytać czarna matkę o liczbę dzieci, najczęściej odpowie: rodziłam 12 razy, ale żyje mi tylko 10-ro! Wszystkie dzieci w Burundi są permanentnie głodne. Jedzą dwa razy dziennie. Około 11-ej śniadanie razem z obiadem, na który składa się przeważnie fasola gotowana na sypko i banany lub jakieś inne owoce, drugi posiłek przyjmują przed zachodem słońca, przeważnie słodkie

kartofle lub placki z tapioki. Specjalność burgundzkiego stołu, to wędzone termity o smaku naszych szprotek. Czarni chętnie je zjadają, gdyż posiadają dużo białka. Chętnie też nimi częstują gości, tak jak my mieszanką wedlowską. Specjał nad specjałami to termity w czekoladzie. Ale na taki luksus mogą sobie tylko nieliczni pozwolić. Termity, plaga afrykańskich domów i drewnianych mostków, w ostatecznym rozrachunku są jednak bardzo pożyteczne. Spełniają rolę naszego MPO. Nie pozwalają na psucie się żadnej padliny, którą zostawia po sobie szakal albo hiena. Nie darują nawet nieboszczykom w grobach. Kiedy na wiosnę przygotowywano miejsce pod nowy dom Sióstr Karmelitanek, część placu wchodziła w cmentarz w Musongati. Siostry prosiły, by zwłoki ekshumować. Okazało się, że nie ma co ekshumować, gdyż termity nawet kościom nieboszczyków nie darowały. Były tylko wnętrza po nieboszczykach!

O pracy misjonarzy napiszę osobno, bo dziś chciałem tylko przedstawić kraj, w którym pracujemy.

O. Bogusław Woźnicki
Sekretarz misji karmelitańskich

Musongati, 6 stycznia 1976 r.

BISKUP RUHUNA CZEKA NA MISJONARZY

Pod koniec ubiegłego roku przez okres dwóch tygodni przebywał z wizytą w Polsce ks. bp Joachim Ruhuna z Burundi. Przybył on do naszego kraju bezpośrednio z Rzymu, gdzie jako delegat Konferencji Episkopatu Rwanda – Burundi uczestniczył w pracach Synodu Biskupów. Celem przyjazdu biskupa afrykańskiego było poznanie ojczyzny polskich misjonarzy, pracujących w jego diecezji (10 karmelitów bosych i 4 karmelitanki Dzieciątka Jezus), nawiązania kontaktów z Kościołem katolickim w Polsce oraz pozyskanie nowych misjonarzy i misjonek.

Ks. bp Ruhuna odwiedził głównie ośrodki misyjne w naszym kraju. Odbił spotkania z kilkoma biskupami oraz alumnami seminariów diecezjalnych i zakonnych, zwłaszcza w klasztorach karmelitańskich, a także z młodzieżą. Wszędzie był przyjmowany z wielką życzliwością i zainteresowaniem. Przemawiając podczas nabożeństw i na zebraniach, biskup z Burundi informował o pracach zakończonych Synodu Biskupów w Rzymie, poruszał problematykę misyjną Czarnego Lądu, a szczególnie swego ubogiego kraju.

W ośrodkach karmelitańskich w Wadowicach i w Poznaniu spotkał się z rodzicami grupy misjonarzy pracujących w Burundi. Goszcząc w zgromadzeniach żeńskich interesował się pracą sióstr wśród opuszczonych i ociemniałych, którymi w jego diecezji nie ma się kto dotąd opiekować.

Podczas pobytu w Polsce, biskup z Burundi, zwiedził także Majdanek i Oświęcim, które wywarły na nim wstrząsające wrażenie. Gościł w Częstochowie i Niepokalanowie. Serdecznie żegnany, wyjechał z zamiarem przekazania swym rodakom wrażeń z Polski. Po powrocie do Burundi, ks. bp Ruhuna, zastał w swym kraju dwóch nowych polskich Karmelitów Bosych.

Poniżej drukujemy fragment przemówienia ks. bpa J. Ruhuny, wygłoszonego w dniu 20.11.1974 r. w kościele Ojców Karmelitów Bosych w Wadowicach.:

„Przybyłem tu przede wszystkim po to, aby Wam przekazać bardzo serdeczne pozdrowienia od tych misjonarzy, którzy pracują w mojej diecezji. Ośmiu kapłanów, dwóch braci zakonnych i cztery siostry Karmelitanki Dzieciątka Jezus. Wielu z nich to Wasi rodacy: O. Sylwan, O. Eliaz, O. Józef, O. Klaudiusz, O. Teofil, Brat Marceli pochodzą przecież stąd. Dlatego chciałem przyjechać tutaj do Wadowic, aby podziękować ich rodzicom. Niestety, mimo chęci nie mogę każdej rodziny osobno odwiedzić.

Równocześnie pragnę Wam przekazać najserdeczniejsze pozdrowienia od całego naszego Ludu Bożego w Burundi, z którym przez Waszych misjonarzy jesteście przecież tak bardzo związani. Wyszli od Was i znaleźli się u nas. Już wrosli niejako w swoją nową ojczyznę...

Burundi, to mały kraj położony w sercu Afryki. Pierwsi misjonarze przybyli tam w 1898 roku. Dzisiaj po 75 latach ewangelizacji, już duży procent ludzi jest pozyskanych dla Chrystusa. Stało się to dzięki łasce Bożej. Zawsze staramy się Bogu za to dziękować. To szczęście przyszło do nas dzięki misjonarzom, którzy przyszli głosić Dobrą Nowinę. Nasz naród jest więc w dużej mierze pozyskany dla Chrystusa. Mamy wielu ludzi, którzy wierzą, którzy zbierają się tak jak Wy, na Mszę św. Niestety, mamy za mało księży. Kiedy zostałem biskupem, kiedy odwiedziłem te społeczności wiernych, widziałem tłumy ludzi wierzących i żyjących w jakiejś radości wiary. Ci ludzie wciąż mnie pytali, czy będę mógł posłać do nich księdza. Niestety, u nas mamy jednego księdza na 10 tys. ludności i ten ksiądz w żaden sposób nie może odpowiedzieć na potrzeby wiernych, którzy są bardzo rozproszeni w jego parafii. Jednocześnie musi się zająć wieloma innymi sprawami: szkolnictwem, szpitalami; nawet drogi to także jego zadanie. Ksiądz więc nie może odpowiedzieć na potrzeby ludzi. Wtedy, gdy patrzyłem na tych ludzi, przypominały mi się słowa Jezusa Chrystusa: „Żniwo wielkie, ale robotników mało”.

Żniwo rzeczywiście jest wielkie, żniwo jest dojrzałe, ale brakuje żeńców i dlatego bardzo proszę, Bracia i Siostry, abyście dalej trwali w modlitwie. Módlcie się, aby Ojciec posłał robotników na żniwa. Módlcie się za wszystkich, ale módlcie się przede wszystkim za tych, których tam widzę tak wielu na chórze kościelnym z Niższego Seminarium. Oni teraz przygotowują się do kapłaństwa, aby wielu z nich mogło pójść za Chrystusem. Módlcie się o dobre i liczne powołania, aby to Niższe Seminarium mogło ich wychować na dobrych i świętych kapłanów.

Do Was, młodzi alumni, zwracam się z prośbą, abyście pamiętali o tym, że cały świat, nie tylko Afryka, nie tylko Burundi, potrzebuje wielu dobrych i świętych kapłanów.

Tę Mszę św. pragnę ofiarować za Was tu zgromadzonych, za Wasze rodziny, za wszystkich bliskich, za wszystkie społeczności w Polsce, za cały Kościół w Polsce, który tak wiele dał mnie osobiście. Nie tylko dając misjonarzy, ale przez te dwa tygodnie podróży po kraju tak wiele zyskałem, widząc wśród Was żywą wiarę, nadzieję, miłość. Będę prosił Boga, aby to w Was utrwalił. Proszę Was abyście i Wy nigdy nie zapomnieli o nas”.

POŻEGNANIE MISJONARZY - KARMELITÓW BOSYCH

Jakby w odpowiedzi na serdeczną prośbę biskupa Ruhuny, dnia 21 czerwca w naszym Ośrodku Misyjnym w Poznaniu odbyło się pożegnanie trzech młodych ojców Misjonarzy: O. Tarczycjusza, O. Bartłomieja i O. Nazariusza.

O. Tarczycjusz, absolwent KUL, już dawniej pragnął pójść w ślady swoich przyjaciół z Zawoi: O. Eliasza, O. Józefa i O. Klaudiusza. Będzie to zatem czwarty misjonarz z tej samej parafii. Naprawdę – unikalny wypadek w Polsce.

O. Bartłomiej, również od dziecka marzył o misjach. Cały czas trwania studiów, przygotowywał się systematycznie do pracy misyjnej. Zaraz po prymicjach poczynił starania o paszport i 2 lipca razem z O. Tarczycjuszem wyjechali na studium języka francuskiego. O. Tarczycjusz do Brukseli, O. Bartłomiej do Paryża.

O. Nazariusz, to również prymicjant, ale w dziele misyjnym już jest zaprawiony. Współpracował czynnie w niesieniu pomocy misjom. Również systematycznie przygotowywał się do pracy w Burundi, studiując bardzo pilnie język francuski. Miał trochę kłopotów z uzyskaniem paszportu, ale wszystko pomyślnie się skończyło i 27 sierpnia również wyjechał do Paryża, by stamtąd razem z pozostałymi dwoma kolegami udać się do Burundi. Już 18 października br. rozpoczyna się kurs języka kirundi.

Krzyże misyjne wręczył naszym misjonarzom J. Eks. Ks. Biskup Marian Przykucki.

WAKACJE NASZYCH MISJONARZY

W tym roku aż trzech naszych ojców Misjonarzy przebywało na wakacjach w Polsce: O. Kamil, O. Eliasz i O. Klaudiusz. Jest takie niepisane prawo, że ile lat jest się na misjach, tyle miesięcy należy się wakacji. Nasi Ojcowie mają już poza sobą pełne 5 lat pracy poza krajem, więc tyle też miesięcy spędzili w kraju.

O. Kamil przebywał w Polsce od 20 listopada do 1 maja. Odwiedził kilka naszych ośrodków misyjnych. Pod koniec pobytu w Polsce, przeżył wielką tragedię. Umarła mu matka! W uroczystościach pogrzebowych wziął udział cały nasz poznański klasztor, bo śp. zmarła mieszkała w Poznaniu.

O. Klaudiusz przyjechał do kraju 1 marca. Miał duże przykrości ze strony władz w Burundi. Po odwiedzeniu rodziny w Zawoi, przebywał również w naszych poszczególnych domach. Pełni obowiązki ekonoma domu w Mpindze. Odznacza się niezwykle miłym sposobem bycia i pogodnym usposobieniem. Ma nadzwyczajny dar barwnego opowiadania o zwyczajnych sprawach. Ojcowie misjonarze nieraz nawet utrwalają na taśmie jego afrykańskie przygody!

O. Eliasz przyjechał do Polski 1 maja. Wyniszczony, ale jak wykazały kliniczne badania – zdrowy.

Również większą część wakacji spędził w naszych domach zakonnych, bo każdy dom chciał go zatrzymać jak najdłużej. Przez cały czas pobytu w kraju cechowała go niezwykła gorliwość w uczęszczaniu na wspólne modlitwy. Okazuje się, że misjonarzem można być i we własnym kraju!

Prawdziwie z żalem żegnałem go 9 września w Poznaniu. Odprowadzili go na dworzec Bracia klerycy, Definitor Prowincji, O. Efrem Bielicki i br. Szymon.

Inne wiadomości z misji są podane w listach z Burundi.

PACZKI DO BURUNDI

W odpowiedzi na bardzo liczne listy w sprawie wysyłki paczek dla naszych ojców Misjonarzy, informujemy, że paczki można nadal wysyłać, ale tylko przez nasz ośrodek misyjny w Poznaniu.

LISTY MISJONARZY

Listy O. Józefa Trybaty:

J+M

21.08.1975 r.

Drogi Ojczy!

Najpierw chcę Ojcu pogratulować z okazji objęcia stanowiska Prowincjonalnego Zelatora Misji. Cieszymy się, że Ojciec nadal będzie nam pomagał przy naszej pracy misyjnej. Dziękujemy za przesłane skrzynie, które w tych dniach mamy odebrać w Bujumburze. Mamy zamiar budować dom dla naszych sióstr, więc każda rzecz bardzo się tu przydaje. Najprostszą rzecz kosztuje tutaj bardzo drogo.

W ostatnich dniach przywitaliśmy br. Marcelego, który wrócił z Polski wypoczęty i zdrowy. Za kilka dni rozpocznie prace przy przygotowywaniu terenu pod dom sióstr. My zaś, tzn. O. Jan Kanty, O. Kamil i ja, bywalcy z Musongati, zajmujemy się pracą apostolską. Po kursie języka kirundi rozpoczynam i ja powoli coś na tym polu robić. Choć jeszcze daleko mi do dobrej mowy, to jednak próbuję zawsze coś wiernym powiedzieć, czy rozumieją czy nie. Cóż, czasem i ja nie wiem bardzo, co mówię. U nas rozpoczął się rok szkolny w katechumenacie. Przychodzą więc dzieci do szkoły kilka razy w tygodniu, aby uczyć się katechizmu, czytania i pisania. Muszę więc od czasu do czasu zaglądać na lekcję, aby przypilnować wykładów, a przede wszystkim, aby samemu nauczyć się mówić. Już miałem okazję pytać dzieci i starszych na egzaminie. Nie wiele więcej, a raczej mniej umiałem od nich, ale trzeba było pytać i czasem „oblewać”. Miałem katechizm przed sobą i odpowiedzi napisane, więc udawałem, że umiem. Najprościej było dla mnie egzaminować z czytania. Mimo wszystko przy takich egzaminach nauczyłem się wiele, nie tylko odnośnie języka kirundi, ale również poznałem trochę, jak dzieci się uczą. To mi wiele dało przy przygotowywaniu kazań czy nauk dla dzieci, aby coś z tego co mówię, wiedziały. No cóż, zawsze będzie się tu obcym i na to rady nie ma. Trzeba się tu urodzić, żyć i mieszkać, aby

zrozumieć – co oni chcą, jak myślą i czym żyją. Całkiem tutaj przystosować się do ich stylu życia nie można. Jesteśmy z innej strefy klimatycznej, mniej wytrzymali na słońce, nie odporni na tutejsze różne zarazki. Było tu kilka takich misjonarzy, którzy chcieli żyć zupełnie jak tutejsi ludzie, spożywali to samo pożywienie, pili tak jak tutejsi ludzie wodę wprost z rzeki bez gotowania i filtrowania, mieszkali w małych chatkach zrobionych na ich wzór. Lecz jaki był skutek? Po kilku miesiącach tak dalece „przystosowanego życia” odwieziono ich do szpitala w bardzo ciężkim stanie i z trudem uratowano ich od śmierci. Zapadli na malarię, tyfus i tak skończyli wkrótce całe swoje apostołstwo. Początkowo, gdy ktoś przyjedzie, wydaje mu się wszystko możliwe, jednak doświadczenie wskazuje, że musimy zachować w pewien sposób swój styl życia i pożywienia, aby tu pracować. Co więcej, nasze posiłki dla nich, a ich dla nas, nie są smaczne, a co dla kogo nie jest smaczne to i nie jest zdrowe. Teraz już nie dziwię się, dlaczego nasi kucharze nie jedzą z nami, nie spożywają naszych dań, choć je gotują. Niestety fizycznie nie jest to możliwe. Co więcej, co myśmy już zdobyli dzięki kulturze europejskiej i doświadczeniu, oni tego nie mają. Stąd dla nich zawsze będzie silniejszym argumentem to, co powiedział czarownik niż lekarz na temat leczenia chorego.

Mimo wszystko, mimo takich różnic pracuje się nam tu dobrze i czujemy się dlatego tutaj tym bardziej potrzebni, aby udzielić im trochę światła Ewangelii i wiedzy, dać to, co sami otrzymaliśmy od naszych ojców.

Tak pod względem temperatury jak i otoczenia „klimat tu jest ciepły”. Ludzie są wdzięczni, choć jak zwykle przy dawaniu siebie i rzeczy innym też trzeba zachować miarę, aby nas i rzeczy starczyło na dłużej, abyśmy mogli im służyć nie przez rok intensywnie, ale przez lata może mniej, ale zawsze. Tego wszystkiego uczymy się na własnym i innych doświadczeniu, bo jedno słowo rady starego i doświadczonego misjonarza znaczy więcej niż cała naukowa rozprawa „uczonych w piśmie” i to nie na miejscu ale tych, którzy w Europie piszą o Afryce.

Tak więc korzystając z pomocy Bożej i ludzkiej wchodzę w to misjonarskie życie zwykłe a bogate; proste jak Ewangelia, a czasem gorące jak słońce w południe.

Na zakończenie chcę podziękować wszystkim naszym Czcigodnym Dobrodziejom. Dziękujemy za pamięć, za modlitwę, za ofiary. Otrzymujemy paczki z Polski. Droga tych paczek jest długa, dlatego często przychodzą poszarpane, podarte, „zmęczone podróżą”. Prosimy więc przy wysyłaniu dobrze i silnie pakować. W końcu życzymy wszystkim dużo łask Bożych, aby Bóg wynagrodził trud tych, którzy przez swoje modlitwy i ofiary przyczyniają się do szerzenia Królestwa Bożego na ziemi.

Drogiemu Ojcu życzę również zdrowia, błogosławieństwa w pracy, my zaś będziemy pamiętać w modlitwie i w listach o Ojcu.

Oddany w Panu
O. Józef Trybała k. b.

J+M

Musongati 5.12.1975

Drogi Bracie Nazariuszu!

Zbliżają się święta Bożego Narodzenia, czas więc pomyśleć o najbliższych. Trudno mi pisać do wszystkich, gdyż ani czasu, ani znaczków nie mam za dużo, abym mógł pisać do wszystkich. Proszę Cię zatem, abys tych kilka słów, które skreślę do moich krewnych przepisał na maszynie i przesłał na podane adresy. Zanim to uczynię, chcę Wam w skrócie opisać moje wrażenia z Burundi.

Do Burundi przyjechaliśmy (przylecieliśmy) 7 listopada 1974 o godz. 6.10. Mimo listopada, było ciepło i wydawało mi się, że powietrze jest sztucznie ogrzewane, tym bardziej, że w czasie naszego pobytu w Brukseli i Rzymie było dość chłodno.

Kiedy wysiedliśmy z samolotu, czekał na nas jeden z Ojców Białych z Bujumbura. Po krótkiej odprawie celnej (na szczęście nic nam nie oclili), siedliśmy do samochodu i przybyliśmy do domu Ojców Białych w Bujumbura. Po odprawieniu Mszy św. i śniadaniu, zmęczeni całonocnym lotem staraliśmy się wypocząć. Ja położyłem się spać. Po chwili snu ktoś puka do drzwi. Oto nasi bracia, O. Sylwan, no i oczywiście O. Eliasz, przyjechali po nas samochodem. Wzruszające były chwile powitania dwóch braci po trzyletniej „rozłące”. Jak zwykle wiele pytań, co słyhać, jak w Polsce itp. Kiedy ochłonęliśmy nieco z wrażeń poszliśmy na „miasto”, aby załatwić wiele spraw, które zawsze są, gdy się jest w stolicy. Aby przyjechać do Bujumbury nasi bracia musieli wyruszyć też wcześniej rano, o godz. 6.00 z Mpinga.

Dzień szybko chylił się ku zachodowi, a do domu daleko, więc zostaliśmy w Bujumbura na noc. Wieczorem tego samego dnia odwiedziliśmy Polkę, która mieszka w Bujumbura od kilku lat. Nazajutrz po Mszy św. rano wyruszyliśmy w drogę do Mpinga przez Musongati. Droga była długa, ale ładna, 100 km jechaliśmy ładną drogą asfaltową, pełną serpentyn i zakrętów. Czym dalej od stolicy, tym wyżej. Rzeczywiście góry są wysokie i piękne. Teraz, w okresie deszczu pełno zieleni. Dużo drzew palmowych, bananowych, eukaliptusowych i wiele innych, których jeszcze nie znam.

Od Gitego rozpoczyna się już droga bez asfaltu dalsze 100 km. Przy drodze spotykaliśmy wielu chłopców, którzy oferują każdemu jadącemu swój towar do sprzedaży. Co ciekawe, im wyżej, tym cena produktów niższa. Zatrzymaliśmy się przy jednym z takich „handlowców” i kupiliśmy nieco bananów, orzeszków ziemnych i innych owoców, aby skosztować owoce Afryki.

Po uciążliwej drodze przybyliśmy szczęśliwie na sam obiad do Musongati. Powitał nas O. Proboszcz, Jan Kanty z otwartymi ramionami i małym refektarzem.

Dolano więc wody do zupy (bo przyjechali goście) i razem kończyliśmy posiłek. Po chwili odpoczynku i „gadania” czas nam było jechać do Mpinga – jeszcze 50 km. Zdecydowaliśmy, że O. Jan zostanie do wieczora i przyjedzie później z O. Janem Kantym, a ja pojedę wprost do Mpingi. Tak się też stało. Po przyjeździe znowu radość, powitanie, pytania i gadanina do wieczora. Potem dojechał O. Jan Kanty z O. Ryszardem (jak ochrzcziliśmy drugiego Jana Wołka) i wspólna kolacja.

Najwięcej zawsze mieliśmy radości (przynajmniej ja), gdy często mnie brano za Eliasza lub odwrotnie. Najwięcej z tego powodu miały radości i krzyku dzieci nazajutrz. Najpierw ukazałem się ja. Wszystko było normalnie tzn. wszyscy mówili Padri Elia. Dobrze. Po chwili, gdy ja zniknąłem im z oczu, ukazał się O. Eliasz. Znowu ten sam, mówiono. Też dobrze. A kiedy wyszliśmy razem z Eliaszem, tego było już dosyć. Zdziwienie, okrzyki – to nie możliwe! Który jest który! Co to jest itp.

Jak mówiła S. Zenobia, takiego krzyku dzieci jeszcze nie słyszała, jak jest w Burundi. „Też prawda”. W najbliższą niedzielę już wszyscy wiedzieli co się stało. Po każdej Mszy św. musiałem chcąc czy nie, pokazywać się ludziom „Bo takiego cudu dawno nie oglądali”. (Ja też!). Potem widziałem, że każdy, kto chciał z nami rozmawiać miał obawy, kto jest kto i pilnie się nam przypatrywał. Podobnie było z ministrantami.

Kiedy nacieszyliśmy się sobą i innymi, tzn. po tygodniu, pojechałem do Musongati, gdzie czekano na mnie, abym założył instalację elektryczną w nowym domu. Co też czynię do dzisiaj.

W wolniejszym czasie uczę się języka kirundi, abym tym lepiej przygotował się do pracy. Pod koniec stycznia jedziemy na kurs języka do Mujange. Tam będziemy cztery miesiące. Już zacząłem „odkrywać tajemnice” języka kirundi. Sam stwierdzam, że język ten jest zupełnie odmienny od innych języków Europy. Słowa, ogólnie biorąc, nie mają żadnego podobieństwa do języków zachodnich, za wyjątkiem pewnych nazw technicznych przeniesionych wprost z Europy wraz z techniką. Mimo wszystko, mam nadzieję, że też kiedyś będę „mówił” tym językiem.

Kończę tych parę słów i składam serdeczne podziękowania wszystkim dobrodziejom, od których otrzymujemy paczki. Już zaczynają przychodzić paczki z Krakowa nadawane z KIK-u. Po tak długiej wędrówce, „3-miesiące”, rzeczywiście paczki są bardzo zniszczone. Dlatego trzeba je mocno opakować. Jak wiem od siostry Zenobii, to z Krakowa przysły już paczki z numerami 5, 4, 8, 10. Dokładną rejestrację paczek prowadzi S. Zenobia.

To tyle. Zasyłam serdeczne podziękowania i pozdrowienia dla wszystkich, a szczególnie dla Koła Misyjnego w Krakowie. Dla Ojca Wacława i innych.

O. Józef Trybała k. b.

J+M

Musongati, 21.05.1976

Drogi Ojciec Bogusławie!

Dziękuję serdecznie za list i pozdrowienia. Cieszymy się, że akcja misyjna rozwija się w Polsce. Ostatnio był u nas ks. dr Feliks Zapłata z ATK. Po zwiedzeniu wielu krajów Afryki przyjechał do nas, aby zobaczyć jak u nas przedstawia się problem Kościoła w Burundi. Kilka dni był w Mpindze, kilka dni w Musongati. Przez ten czas odwiedził siostry Polki pracujące w Burundi tzn. Siostrę Zofię Soha w Mabonzie i S. Bernadetę Boron w Kinini. Przez te trzy tygodnie jakie u nas spędził, skorzystał wiele i mamy nadzieję, że coś napisze. Obecnie jest w Rwandzie.

U nas zaś w Musongati trwa budowa katechumenatu. Położono już fundamenty. Całość będzie budowana z kamieni, ponieważ nie ma cegieł. Dom Sióstr już wykończony i poświęcony przez naszego biskupa. Uroczyste poświęcenie domu Sióstr odbyło się w ubiegłą niedzielę tj. 16 maja 1976 r. Na tę uroczystość byli zaproszeni i przybyli przedstawiciele nauczycieli, władzy terenowej oraz sąsiedzi. Bractwa było trochę. Trzeba było jeszcze

zaprosić i ojców z Mpingi oraz siostry czarne z Mpingi. Ale jak sam ks. Biskup podkreślił, wszystko było ładnie i dobrze urządzone.

Mamy również wewnętrzny telefon między nami i siostrami tak, że już nie trzeba za każda drobnostką latać.

Wielebny Ojciec wspomniał o telefonach (czy o radiotelefonach) ze Stanów Zjednoczonych. Ucieszyliśmy się na tę wiadomość, bo może uda się nam w jakiś sposób nawiązać łączność z Mpinga. Teraz O. Eliasz wyjechał i nikt nie nadaje światłem z Mpinga. A szkoda, bo czasem są wiadomości do przekazania, coś trzeba się tylko zapytać, to wysyłaj chłopca, który wróci dopiero wieczorem.

Wracając do O. Eliasza. Dałem mu wszystkie przeżycia z Wielebnym Ojcem i z N. O. Prowincjałem. Gdy O. Eliasz będzie w Poznaniu to Wielebnemu Ojcu je doręczy.

W tej chwili mamy trochę czasu, gdyż rekolekcje wielkopostne się skończyły i O. Kamil przyjechał. Na razie jest w Musongati, ale za tydzień pojedzie, aby zastąpić w Mpinga O. Eliasza. Zostaniemy znowu we trzech w Musongati tzn. O. Kanty, br. Marceli i ja. Ale mamy nadzieję, że wkrótce przyjadą następni młodzi. Czekamy na nich z otwartymi sercami.

Już zaczyna się u nas pora sucha. Deszcz już przestaje padać, nieco chłodniej i więcej wiatrów. Stąd też wiatrak się kręci i czeka jeszcze, aby coś zrobić! Już wkrótce zainstalujemy odpowiednią prądnicę do światła, więc wiatr nie będzie już dmuchał na darmo.

Szwagier O. Sylwana czuje się zdrowo. Pełen zapału i sił zabrał się do urządzania stolarni w Mpindze, aby móc coś zrobić. Nie uczy się zbyt wiele języka kirundi, ale za to swoich robotników uczy języka polskiego. Nie ma nawet wiele czasu, aby tęsknić za Polską. Czasami w wolnej chwili sobie wspomina, ale z tą nadzieją, że kiedyś wróci do Polski. Tyle wiadomości z naszego „podwórka”. Zapewne w Polsce jest teraz ładna wiosna, wszystko się zieleni, a głowy uczniów do matury dojrzewają jak makówki. W studentach pewnie gorączka przed „de uniwersa”. Każdy układa plan działania i pracy na okres wakacji. U nas prawie przez cały rok jest tak samo. Nie zmienia się wiele pogoda, i nie zmienia się wiele rytm pracy. Wprawdzie dzieci mają wakacje, ale to nam wiele nie zmienia porządku dnia pracy. Zawsze trzeba jechać na małe „sucursale”, praca w kościele, przy budowie. Różne sprawy i interesy każą czasem jechać tu i tam. To tyle. Dziękuję jeszcze raz za list, pozdrowienia i wiadomości i życzę Wielebnemu Ojcu dalszej owocnej pracy w szerzeniu idei misyjnej i poszukiwaniu zwolenników misji, a Pan żniwa i misji niech za to Wielebnemu Ojcu błogosławi.

Oddany w Panu
O. Józef Trybała k. b.

Listy O. Bogustawa Woźnickiego:

Musongati 18.12.1975

Drodzy Przyjaciele naszej Polskiej Misji!

Jestem ogromnie wdzięczny Bogu, że przed śmiercią mogłem zobaczyć Czarny Łąd! Przede wszystkim jednak za to, że widziałem, jak wygląda praca naszych ojców Misjonarzy tak na co

dzień, bez szminki, bez koturnów, nie w białym habicie, ale roboczym kombinezonie. Znałem ich pracę z listów. Wiedziałem, że jest ciężka, niewdzięczna. Ale nie przypuszczałem, że zaraz pierwszego dnia pobytu w Burundi zakosztuję misjonarskiego trudu, albo inaczej jeszcze, zostaną sprowadzony z obłoków na ziemię, a raczej w afrykańskie błotko!

Ale nie uprzedzajmy wypadków!

Droga do Burundi prowadziła z Warszawy przez Brukselę, gdzie trzeba się było starać o wizę do Burundi, gdyż w Polsce nie ma przedstawiciela dyplomatycznego tego kraju. Tam okazało się, że trzeba przejść dodatkowe szczepienia przeciw żółtej febrze i czarnej ospie (w Warszawie szczepiono mnie również, ale przeciw cholerze i malarii). Potem via Rzym, Ateny, Nairobi, Entebe, do Bujumbura. Na lotnisku oczekiwał nas O. Sylwan i ks. Joachim Ruhuna.

Śliczny, słoneczny dzień i pomimo, że była to godzina 6.15, było już bardzo gorąco. Bujumbura przedstawiała się z najlepszej strony. Aleje wysadzone araukarią, przed zamożniejszymi willami Europejczyków rosły podobne do pawich ogonów palmy – ravenale, różowo, niebiesko i żółto kwitły mimozy. Inne znowu ulice zdobiły chińskie róże, takie jak w Polsce hodujemy w doniczkach, wysokie jak nasze jabłonie. Różowe kwiaty dodatkowo zdobiły złociste kolibry, wydziobujące nektar z tych pysznych kielichów. Kwitną tropikalnego jaśminu o niezwykle silnym zapachu i zwisających, jak u płaczącej wierzby gałązkach. Kwitną również orchidee, pyszni się „gloriosa superba” (nomen omen!), tam znów „striga asiatica” i misterna „kniphofia”. Feria kolorów i gama zapachów. W dali „morze Burundi” – jezioro Tanganika.

Po nieprzespanej nocy (pomimo, że stewardesa podkładała poduszkę pod głowę), oczy się jednak kleją. Z radością witam misyjny hotel, gdzie dostaje pokój.

Kąpiel i kładę się spać. Przed spaniem czytam jednak instrukcję wywieszoną w pokoju. O której obiad, o której kolacja, kiedy Msza św. Najwięcej zaciekawił mnie passus tej instrukcji, gdzie dyrekcja hotelu prosi, by każdy, kto uклада się do snu, zobaczył wpierw, czy nie ma pod poduszką skorpiona, węża lub żmiji pod łóżkiem. Sprawdzam. Nie ma żadnych nieproszonych gości. Acha, dalej mówi instrukcja, że gdy będę się ubierał, powinienem zobaczyć, czy do buta, w poszukiwaniu ciepła nie zakradła się żmija. Zapuszczam moskitierę, bo słyszę, jak brzęczą te miłe stworzonka i zasypiam. Nie długo, bo do pracy przyszli Czarni. Czarny, gdy pracuje - śpiewa. Potem będę miał sposobność przekonać się, że Czarni są bardzo muzycykalni, sami improwizują teksty i komponują melodię. Czasem za tekst wystarcza jedno słowo, byle dosyć dźwięczne i fonetyczne. Tu w Bujumburze wystarczyło słowo „Witamina”. Myślałem, że to jakieś święte słowo i pytałem później misjonarzy, co ono oznacza. Nic nie oznacza. Jest tylko piękne fonetyczne i dobrze się śpiewa. I tak chyba ponad 1000 razy na różne melodie, w różnych intonacjach pracownicy misji to słówko wyśpiewywali.

Oczywiście, że o spaniu nie było mowy, bo moskity brzęczały i Czarni śpiewali. Szczekały również psy, które pilnują garażu.

O 12.00 Anioł Pański i obiad. Pierwszy w Afryce. Z niedowierzaniem patrzyłem na dania, ale nie było nic podejrzanego. Do picia „amadzi” woda – deszczowa. Innej w Afryce nie ma, przynajmniej tu w Burundi. Na drugie zupa jarzynowa. Jakie to były jarzyny, nie wiem. Trochę podobne do pietruszki, trochę do selerów, ale smaczne. Trzecie danie amaszczu i ybiraya, czyli młoda kapusta oraz młode kartofelki, które jedzą tylko biali. Czarnym nie smakują. Do tego jakieś mięso. Co to było, nie wiem. Może małpa, może wąż lub był to królik. W każdym razie smakowało mi bardzo. Potem kompot z mango, owoce do wyboru.

Ananasy, pomarańcze, mango, banany, avocado i passiflora pieczona. Owoców obecnie w Afryce zatrzęsienie. Taka polska klęska urodzaju. Jest to okres dojrzewania bananów, mango, papaji, więc witaminy nie brakuje.

O. Sylwan nagli do wyjazdu, chociaż ja zdradzam ochotę przejechania się po stolicy. Kiedy indziej, innym razem. Dziś przed nami 200 km górskiej drogi. Liczę sobie po polsku, że 200 km to cztery godziny drogi, ale okazuje się, że siedem godzin za mało. Pierwsze 100 km, to asfalt. Dobre mostki. Budował tę szosę polski inżynier, ale potem zaczyna się droga przez busz, pełna wyboi, wąskie drewniane mostki. Słońce schowało się za chmury, błyskawice przecięły niebo, odezwał się przeciągły grzmot i zaczęła się burza tropikalna. Deszcz zamienił się w ulewę, ulewa w potop. Kurtyna wody przed maską samochodu była tak gęsta, że na jeden metr nic nie było widać. Leśna droga gdzieś znikła! Była tylko przed nam górską rzeką, mętna, czerwoną wodę tocząca! Strumyki zamieniły się w rwące rzeki. Stanać nie można, gdyż potem nie wiadomo, czy samochód ruszy! Jedziemy powoli. W pewnym momencie milczący O. Sylwan mówi do mnie: „niech się ojciec pomodli, bo tu jest miejsce, gdzie dwa tygodnie temu spadł z nasypu O. Teofil”. Pomodliłem się. I może dlatego jeszcze ten list piszę. Jedziemy dalej. I znowu odzywa się O. Sylwan: „niech ojciec wyjdzie z szoferki i zobaczy, czy na tej rzece jest jeszcze most”. Co było robić, trzeba wyjść, skoro się mi zachciało Afryki! Szukam w mętnej wodzie. Jest, chociaż wierzchem płynie rzeka. Stoję na środku, by kierowca mógł naprowadzić Toyotę na most. Naprowadził. Przejechał. Ale to nie koniec moich przygód dzisiejszego dnia. W pewnym momencie czujemy, że koła buksują, a samochód zsuwa się w głęboki parów. Każda dalsza próba grozi wywrotką. Wychodzimy z szoferki. O. Sylwan bierze saperkę, łopatę i wygrzebuje błoto spod kół, a mnie wręcza tępą siekierkę i prosi, bym naściął w buszu gałęzi i wyłożył 30 metrów szosy, bo inaczej – tu już czuje, że zaczyna mnie szantażować – będziemy nocować w buszu. Nasi Misjonarze zawsze wożą ze sobą siekierkę, piłę, łopatę, bo wiele razy zdarzyło się, że trzeba było sobie budować most, jeśli nie chciało się nocować w stepie. Deszcz na szczęście trochę zelżał, ale wystarczyło bym zmókł dosłownie do suchej nitki. Ścinam nawet małe drzewka byle prędzej, a wciąż myślę, że co to będzie, jak piorun zamiast w eukaliptus grzmotnie w moją siekierkę. Po wyłożeniu zielenią szosy, obciążam dodatkowo tylne koła i samochód powoli posuwa się w górę.

- Chwała Bogu, że się nic nie stało! – mówi z filuternym uśmiechem O. Sylwan.

- A co się mogło stać? – pytam z niepokojem.

- Widzi ojciec – ciągnie dalej nasz kierowca – tu w tej dolinie w ubiegłym tygodniu lew zjadł kilkunasu Murzynów. Leczy ich teraz S. Zygmunta!

- To teraz dopiero mówi o tym ojciec?

- Nie chciałem przedwcześnie straszyć, bo inaczej nie wyszedłby ojciec z auta!

Pewnie, że bym nie wyszedł, ale pomimo to zrobiło mi się zimno na myśl, jak łatwo można tu w Burundi zginąć śmiercią misjonarza!

Ojciec Sylwan widząc moją niewyraźną miną, bawi się moim przerażeniem i ciągnie dalej:

- Tu były trzy lwy, jeden został wczoraj zabity, więc może pozostałe dwa przeniosły się pod naszą misję.

Jeszcze jakie kilka kilometrów i widzimy zabudowania w eukaliptusowym lasku.

- To mieszkanie sióstr Karmelitanek – objaśnia O. Sylwan.

Siostry postyszawszy samochód, wybiegły na nasze spotkanie. Nie zatrzymaliśmy się jednak zbyt długo, bo byliśmy bez Mszy świętej. Już blisko, 500 m dalej była nasza misja, gdzie z kolei oczekiwał nas O. Jan Kanty, przełożony misji w Musongati, O. Józef, którego niedawno żegnałem w Poznaniu i brat Marceli, nasz inżynier- budowniczy! Po przebraniu się w suche habity Msza święta, a po Mszy kolacja i długa, długa rozmowa z braćmi.

Oprócz ojców Misjonarzy na misji mieszkają dwaj czarni pracownicy: Libertus i Salwator. Gotują na zmianę. Ten tydzień miał dyżur Libertus. Młody chłopak, bardzo spokojny, ogromnie cierpliwy i niczym się nie przejmujący. W czasie kolacji dałem mu termos, by mi przygotował na noc gorącej herbaty, gdyż brały mnie dreszcze i musiałem zażyć arechin przeciw malarii. Po chwili przychodzi, przynosi dwa kawałki termosu, stawia na stole i wypowiada tylko jedno słowo w kirundi: IRAPFUJE! Pytam się, co to słowo znaczy, a O. Jan mówi „zdechł” czyli rozbił się. Powiedział to tak pięknie, że prosiłem ojca Przełożonego, by nie krzyczał na biednego Libertusa!

Dziś z racji naszego przyjazdu, agregat pracował dłużej, więc długo w noc mieliśmy światło.

Pilnie przeglądałem gościnny pokój, czy nie ukryła się gdzieś żmija albo skorpion lub stepowy wąż. Ale nic nie znalazłem. Na wszelki wypadek zatkałem otwór zlewu, bo umywalki są bez syfonów, żeby jakiś gad nie przedostał się do mnie.

Spałem bardzo smacznie. Śniła się i tylko moja niedawno zmarła Matka, która widocznie czuwa nad swoim ukochanym synkiem!

Acha, jeszcze na dobranoc O. Jan powiedział nam w języku kirundi: „Rara hadyana”. Nie chciał przetłumaczyć na polski, ale O. Józef powiedział mi, że tak żegnają na noc swoich przyjaciół tu w Burundi. A znaczy to: „idź spać i niech cię pchły gryzą!”

Wobec tego i ja naszym przyjaciołom w Polsce tego samego życzę.

O. Bogusław Woźnicki
sekretarz misji

Musongati, 19.12.1975

Kochani Przyjaciele naszej Misji w Burundi!

Nasz dom w Musongati jest nowy. Brakuje jeszcze przysłowiowej kropki nad „i”. Okna nie pomalowane, nie ukończone sufity, które robi się tutaj z mat bananowych. Jest to oszczędność materiałów budowlanych, które tutaj w Burundi są bardzo drogie. Nic dziwnego. Wszystko z importu. I cement, i wapno, i stal zbrojeniowa, i eternit, i blacha. Tym również wytłumaczyłem sobie brak instrukcji w gościnnych pokojach, takiej instrukcji, jaką widziałem w misyjnym hotelu w Bujumbura. Nie mniej jednak, niby stary wyga misyjny, pomny na instrukcję z Bujumbura, pilnie przeglądam łóżko, czy nie ma w nim jakiegoś nieproszzonego współlokatora, jak żmija lub skorpion. Potem zobaczyłem, czy okno zamknięte, potem zaglądam pod łóżko. Nie było nic. Przezornie zakorkowałem otwór zlewowy w umywalce, była bez syfonu, mógłby się wślizgnąć jakiś mały wąż albo chytra żmija. Zmówiłem krótki pacierz i ułożyłem się wygodnie na dmuchanym materacu w nadziei, że niebawem wpadnę w objęcia Orfeusza. Ale jak tu zasnąć, kiedy pomyślą, że wczoraj o tym

czasie byłem jeszcze w Rzymie, potem w Atenach, a dziś kładę się do snu po drugiej stronie równika, pod 2 stopniem szerokości geograficznej – południe!

Misja nasza jest otoczona lasem eukaliptusowym. Drzewa eukaliptusowe mają liście jakby z pergaminu, więc krople deszczu odbijają się o nie jak o blachę. Jak wspomniałem wyżej, w misyjnych domach nie ma sufitów. Od dachu oddziela mata wypleciona z bananowej kory. Słysząc oddalający się grzmot. Może przestanie padać – pocieszam się w duchu.

O 21-ej zgąsło światło. Szkoda ropy, po którą trzeba jechać 200 km. Ile to trzeba zużyć paliwa po tych drogach, no i silnik wytwarzający energię elektryczną, na mydlinach nie pójdzie!

Noc. Pierwsza podrównikowa noc. Nad słuchuję, czy nie usłyszę stękania lwa, lub pomruku lamparta, albo co najmniej nawoływania się szakali i hien. Cisza. Cisza. Zasnąłem. Nie wiem jak długo trwał ten sen, gdy poczułem, że coś zimnego i śliskiego spadło mi na twarz!

Jezus, Maria! pomyślałem sobie – żmija. Zapalek nie mam, latarka podręczna wypaliła się w walizce w samolocie, a w nocy wołać ratunku, to trochę i wstyd. Co o mnie, byłem żołnierzem AK, pomyślą młodzi ode mnie bracia – misjonarze. Wyszedłem jednak z łóżka, otworzyłem drzwi na korytarz w nadziei, że żmija pójdzie sobie do innego pokoju, może gdzieś bliżej kuchni...

Zmęczenie przemogło strach i zasnąłem ponownie. Nie na długo. Znowu coś gramoli się na łóżko i mruczy jak młody lampart. Na szczęście był to misyjny kot. A, że między innymi dlatego jest zatrudniony w misji, by płoszył żmije, więc już spokojnie, mając takiego stróża, zasnąłem, tym razem do rana.

Wczoraj słyszałem, że tu w Burundi są fantastyczne wschody i zachody słońca, więc chociaż jeszcze kleiły się oczy wyskoczyłem z łóżka i pobiegłem na werandę. Deszcz przestał padać. Niebo czyste, w powietrzu ani jednego pyłka. Na horyzoncie różowi się zorza poranna. Nagle, jakby ktoś rozbił gigantycznych rozmiarów kryształowy puchar, zza góry wytrysnęły w niebo żółto-różowe promienie, a po chwili, jak ognista raca, wytoczyło uśmiechnięte słońce. Stało się to wszystko tak szybko, tak niespodziewanie, że nie trwało ani 5 minut, a już mieliśmy pełny dzień.

Stałem urzeczone! Odniosłem wrażenie, że jakiś mocarz ukryty za górami wystrzelił z procy słoneczną kulę! Araukarie, sekwoje, eukaliptusy, mimozy lśniły milionami kropelek rosy, a każda z tych kropelek rozszczepiała słoneczne promienie w tęcze kolory. Zdawało mi się, że drzewa są podświetlone, jak fontanny w Tivoli!... Akacje, drzewa orchidei, melonowce, papaje i drzewa mangowe tworzące jakby drugie piętro pyszniły się szmaragdem, a liczne bananowe laski odróżniały się od reszty zieleni delikatnym seledynem...

Wysokie jak polskie wierzby, róże japońskie są pełne życia, bo niemal w każdym kielichu kwiatu, jakby zawieszony na nylonowej nitce trzepoczą się fantastycznie upierzone kolibry. Poczawszy od ciemnego fioletu, który mieni się w słońcu różnymi odcieniami, poprzez pomarańczowo - czerwone i cytrynowo - granatowe i zielono-żółte. Spijają nektar, zapylając wspaniałe kwiaty.

Na rozłożystym eukaliptusie założyły kolonię żółte remizy. Na długich gałązkach wiją misterne gniazda. Wygląda to jak popis artystów cyrkowych na trapezie!

Wokół misji świeżo założony ogród. Warzywny i kwiatowy. Brat Marceli, inżynier i budowniczy, okazuje się być dobrym ogrodnikiem. Podziwiam plantację ananasów, które

rosną jak w Polsce kalarepa. Potrzebują trochę więcej wilgoci i dlatego osłonił trzcinową słomą korzenie, by słońce nie wysuszyło gleby. Opodał widzę słodki groszek. Rośnie wysoko i daje duże strąki. Jest to przysmak tutejszych owocożernych nietoperzy. Trzeba przed nimi o wieczornej porze zabezpieczać plantację, nakrywając całe poletko folią (dobrze, że brat Marceli nie wie, że słodki groszek jest i moim przysmakiem). Widzę czerwone buraczki, sałatę, marchewkę, pietruszkę, kalafior, fasolkę szparagową, która rośnie z jednego siewu już trzeci rok i ustawicznie owocuje, dużo afrykańskich pomidorów, mniejszych jak nasze europejskie, ale smaczniejszych. Owocują poziomki, maliny dojrzewają. Wszystko to rośnie radośnie, szybko dojrzewa, bo ciepło i mamy teraz porę deszczową, massikę, jak mówią czarni. Podziwiam urodziwą marchewkę. Czarny kucharz wrywa ją właśnie. Na obiad. Czyni to z pewnym obrzydzeniem, jakby zdechłego szczura ciągnął za ogon! Co też ci biali nie wymyślą. Marchewkę sadzą na nawozie! Fe! A potem ją jedzą. Niby to przestrzegają zasad higieny, pięć razy dziennie myją się, aż zgroza, ile marnują wody, a marchewkę jedzą! Tak tutaj mówią o naszych Misjonarzach! Kto to widział brudzić ziemię nawozem! Nawóz jest od tego, żeby nim palić, gdy drzewa zabraknie i gotować maniok i fasolę, ewentualnie może służyć do zalepienia dziurawego garnka na mleko, ale nie wolno nim zanieczyszczać ziemi. Tak samo czarni są zdziwieni, że biali jadają kurze jaja! Kto to widział. Kury chowają, owszem, ale na rosół. Pytam, dlaczego nie jadają jaj i słyszę odpowiedź: że może byśmy jedli, gdyby kury jajka dziobem znosiły, ale..., no wiadomo...

Chociaż mamy ranne godziny, słońce praży niemiłosiernie. Ubieram biały habit, tropikalny kapelusz i wychodzę w step. O. Jan Kanty nakazuje zjeść śniadanie, bo w Afryce obowiązuje zasada: Jedz, jeżeli nie chcesz, by cię zjadła Afryka! Poleca mi również, bym nie schodził ze ścieżki, bo w trawie łatwo można spotkać węża. Odnośnie węży, to poprzedniego dnia do ośrodka zdrowia czarni przyprowadzili bardzo zbitego człowieka. S. Zygmunta pyta, kto go tak mocno pobił, a on mówi, że napadł go boa-dusiciel. Zaczął wołać o ratunek. Nadlecieli czarni i bijąc pałkami węża, jego samego nie oszczędzili. Coś mi się dostało! Ale tego szatana tośmy zabili! Oprócz krwawych ran, miał połamane żebra.

O. Jan Kanty ostrzegł mnie również, bym broń Boże, nie zbliżał się do pomarańczy stepowych. Jest to niewielka roślina o przykrym zapachu, ale posiada niezwykle piękne owoce, bardzo podobne do pomarańczy. Wewnątrz tych owoców są lśniące pestki w czerwonym miąższu, które są przysmakiem węży. Tak samo jest niebezpieczne typowo afrykańskie drzewo o baldaszkowej koronie (z tej samej przyczyny) tak zwana kapara, bo spadające owoce tego krzewu chętnie zjadają węże. Okazuje się zatem, że misjonarz chcąc swobodnie poruszać się po buszu, musi być trochę i zoologiem i botanikiem i ornitologiem! Nie wolno również siadać, nawet na kamieniu, nie mówiąc już o trawie. Z mrówkami nie ma żartów. Są jadowite. Można również spotkać kleszcze stepowe, których ukłucia pieką gorzej od pokrzywy, nie mówiąc już o pchełkach piaskowych. Jaszczurki, salamandry są człowiekowi przyjazne. Na ogół żyje się z nimi dość zgodnie. W domach misyjnych można spotkać spacerujące po suficie. I właśnie tej nocy, taka jaszczurka, jak się okazało, spadła mi na twarz. Może się nawet więcej ode mnie przestraszyła, bo leżała schowana pod ciepłym kocem!

Po drodze spotykam chłopców spieszących do szkoły. Można się z nimi rozmówić po francusku. Ten język jest obowiązkowy w szkole podstawowej, gdyż Burundi była kiedyś kolonią belgijską. Są zdumieni, że biały, a w ich języku mówić nie potrafi! Wszyscy jednak

pozdrawiają mnie: Bga keye. Ja już zdążyłem się dowiedzieć, że trzeba odpowiedzieć: a nedza. Dobrze. Z kolei ja pytam: A ma hora? Co nowego. I oni znów: a nedza! Dzieci trzeba zapisać: witwa nde? Jak się nazywasz?

Jeżeli chodzi o imiona, pisałem już, maja śliczne. Anastazija, Antonija, Domicella, Jolanta. Takie imiona noszą abakobwa – dziewczynki. Umugabo – chłopcy również chwalą się, że nazywam się Liberatus, Salwator, Kasjano itd. Ponieważ czuję, że moja znajomość kirundi już się ma ku końcowi, powiadam: nd’umushitsi. Sinzi ikirundi! Nie znam kirundi. Jestem gościem! W odpowiedzi słyszę AAA!!! miły uśmiech i idę dalej. Żal mi ich. Są nędznie odziani, albo i nie odziani. Często słodyszami, polskimi landrynkami, które są dla nich ogromnym przysmakiem. Pewnie, skoro na odpuszczenie zamiast cukierków, małe Murzyniutka kupują od kramarza po kawałku trzciny cukrowej! Daję medaliki – koniecznie z agrafką, bo agrafka przedstawia dla nich większą wartość, niż srebrny medalik i znając przysłowie burundzkie: Intuga rya cane rituma amaro, uśmiecham się do nich serdecznie, bo ta przysłowie przełożone na polskie tak brzmi: Mały uśmiech ociera wielkie łzy!

Uśmiechałbym się do czarnych braci całymi dniami, gdybym mógł choć małą łezkę z ich oczu otrzeć. Tymczasem pozdrawiam najserdeczniej i błędy proszę poprawić, gdyż piszę bez słownika i na „czysto”.

Bogusław Woźnicki

Musongati 21.12.1975

Kochani Przyjaciele naszej Misji!

Dziś w Polsce mamy najdłuższą noc przy najkrótszym dniu. Tu w Burundi słońko regularnie wschodzi o 6.00, by schować się za góry o 18.00. I tak jest przez cały rok!

Jest cudownie słoneczny dzień, chociaż w nocy deszcz mocno padał. Były błyskawice, pioruny. To zwyczajna rzecz w porze deszczowej! Po Mszy świętej wyjeżdżałem z O. Józefem do Kibuko, do filialnego kościoła. Ciekawy jestem jak taki kościół może wyglądać, czy może być uboższy od parafialnego w Musongati? Okazuje się, że tak!

Wóz, którym mamy jechać nie budzi zaufania. Taki samochodowy „Cyklop”, bo jeden reflektor stracił w zderzeniu z gazelą, pognieciony błotnik, źle zamykające się drzwi, rozbita boczna szyba, ale poza tym jest całkiem dobry. Na afrykańskie drogi, aż za dobry!

Rzeczywiście, w sprawnej ręce młodego misjonarza, stary wóz sunie bezszelestnie jak lampart.

Razem z nami jedzie również jeden z katechistów, będzie przewodniczył zgromadzeniu wiernych.

Ja, niestety, mogę się tylko przypatrywać ich pracy i obserwować pobożność czarnych braci.

Katechista nazywa się Saturninus. Jako premię za wzorowe życie rodzinne i za dobre wyniki w nauczaniu dostał wczoraj piękną jesionkę. Długą po kostki. Wybrał sobie również ciepły szalik i czapkę uszatkę. Oczywiście dzisiaj już nie czekając Świąt, ubrał się i gdy tak wystrojony wysiadł z auta, słyszałem przeciągłe aaa, którymi czarni wyrażają zachwyt! Na pewno jego autorytet wzrósł o 100%, tym bardziej, że dotychczas chodził boso, a wczoraj

razem z darami otrzymał również buty. Pół dnia uczył się w nich chodzić, trzymając się stołu, ale za to teraz paradował wokół kościoła. Buciki były wprawdzie trochę ciasne, więc tam, gdzie go uwierały, powykrawał duże dziury!

O. Józef zasiadł w konfesjonale. Kolejka była długa, a ja korzystając z praw gościa oraz z tego, że nie rozumiem kirundi, poszedłem rozglądać się w terenie.

Kościół rzeczywiście uboższy od parafialnego w Musongati. Na centralnej ścianie duży, prosty krzyż. Mensa z cegły, ubożuchne tabernakulum, dwa krzesła zamiast ławek, belki eukaliptusowe. Konfesjonał – zawieszona mata z włókien bananowca, otwory okienne założone pustakami, wyglądają jak witraże ażurowe. Dach mocno przecieka, bo widzę kałuże wody. Paramenty liturgiczne każdorazowo przynosi ze sobą Misjonarz. Gdy zatrzymuje się dłużej, przywozi również pościel.

Obok domku misjonarza jest kuchenka, gdzie gotuje sobie jedzenie. Czasem to musi obejść się i smakiem, bo zdarza się, że gdy on jest zajęty w kościele, złożą mu wizytę małpy i zjedzą jego obiad.

Tym razem małp nie było.

Wokół kościoła kiermasz przedświąteczny! Czego tutaj nie ma! Można np. kupić nową żyłtkę, którą stary Murzyn golił się dwa lata, można dostać pakiet waty higroskopijnej, nici, gwoździe, mydło na małpim tłuszczu, groch, fasolę, bataty, sorgo, mąkę maniokową, perkalowe szmatki, ananasy, banany. Młody Murzyn sprzedaje po kawałku trzcinę cukrową, którą kupują małe Murzyniátka, jak nasze dzieci toffi oraz specjał nad specjałami, na który mogą sobie pozwolić najbogatsi: termity w czekoladzie! Wokół kościoła dorodny las eukaliptusowy, w którym pasą się wielkorogi afrykańskie krowy oraz czarne jak diabełki burundzkie kozy. Obok kościoła szkoła misyjna, katechumenat i ośrodek socjalny. Ponieważ dzisiaj niedziela, kózki wesoło buszują po klasach i widzę, jak niektóre raczą się pozostawionymi podręcznikami do języka francuskiego!

Za eukaliptusowym gajem rośnie las szpilkowy. Dorodne pinie afrykańskie o długich szpilkach, smukłe seye, mirtowce, drzewa bukszpanowe i wiele innych, których nazwać nie potrafię. Zwarte lasy, to raczej rzadkość w Burundi. Czarni nie szanują drzew. Widzę obdarte z kory mirtowce. Robią z niej ule dla pszczół. Nacinają wokół pnia korę i zdejmują w całości. Teraz wystarczy podłużny szew sizalową nicią oraz zrobić dwa dekielki i ul gotowy. Taki ul zawieszają na drzewie. Tutejsze pszczoły są bardzo kąśliwe, ale czarni bartnicy mają na nie sposób. Jeżeli się spodziewają, że ul pełny, spuszcza go nocą na ziemię, a pusty wieszają na jego miejsce. Rano wszystkie pszczoły razem z matką przenoszą się do tego na drzewie, a pełny ul staje się łupem pszczelarza!

Miód afrykański jest niezwykle smaczny, bardzo aromatyczny i leczniczy. W lesie spotkałem kilkoro dzieci. Podarowałem im po medaliku z agrafką, bo agrafka to tutaj prawdziwy skarb. Służy jako broszka, a jednocześnie jest potrzebna do oczyszczania skóry z afrykańskich pcheł, o których już pisałem, że nie tylko gryzą, jak nasze pocziwe europejskie, ale składają larwy pod paznokciami nóg, co powoduje ropienie i rozmaite zakażenia, kończące się często utratą palców.

Od natrętnych Murzynków uwolnił mnie dopiero ingoma, święty tam-tam, wzywający wiernych na Mszę.

Dziś dopiero miałem sposobność słyszeć jak Czarni śpiewają. Muszę przyznać, że cudownie. Są ogromnie muzykalni. Zamiast organów ingoma – szczególnie uroczysty moment to chwila,

gdy odzywa się tak zwany tam-tam Ntare – Królewski. Milkną nawet rozplakane dzieci! Wszystkim zdaje się, że do świątyni wchodzi Król Królów! Do Komunii św. przystępuje cały kościół. Ponad 1000 wiernych. Pomagam „Umubiri wa Kristu” – Oto Ciało Chrystusa. To moje pierwsze liturgiczne słowa, którymi posługuję się jako misjonarz!

Po Mszy św. O. Józef jeszcze raz zasiada do konfesjonału. Wszyscy chcą być bez grzechu w dniu Bożego Narodzenia. Ja natomiast wybieram się w busz. Wabią mnie egzotyczne głosy afrykańskich ptaków. Są niezwykle pięknie upierzone, ale w przeciwieństwie do Murzynów, śpiewaki z nich marne! Jakiś duży ptak, bardzo podobny do tukana, śpiewa tak, jakby przedrzeźniał płaczące niemowlę. Inny znowu naśladuje zalecającego się kocura. Ptak wielkości naszego kosa, ale ubarwiony jak dzięcioł pstrokaty, popisuje się krótkim hejnałem złożonym z trzech następujących po sobie tonów, G-E-C. Początkowo myślałem, że to chłopiec na okarynie wygrywa te trzy tony!

I tak wciąż G, mała tertia w dół i sexta w górę. Proszę sprawdzić na muzycznym instrumencie, że to wcale piękna melodia.

Spotkałem również niewielkiego ptaszka, podobnego do naszego szpaka w szacie godowej. Czarne, aż fioletowe piórka błyszczą w słońcu, jak stal w oliwie hartowana! Główka w kilku kolorach, krawat jak u Zetempowca, a pióra lotek i ogon błyszczą jak brylanty. Mimo woli to ptaszę przypomina strojną krakowiankę!

Żółto kwitnąca mimozę obsiadły afrykańskie sójki o lazurowym upierzeniu. Szkoda, że nie jestem ornitologiem, bo wiele gatunków nie potrafię nazwać. Na ogół wszystkie ptaki są mało płochliwe, nawet pantarki, które tutaj żyją dziko.

Z ssaków napotkałem tylko cyweta. Większy jak największy europejski kot, ale trochę mniejszy od psa, niższy przede wszystkim. Na mój widok pochwalił się garniturem urodziwych zębów. Na szczęście nie zechciał ich wypróbować na białym mięsie. Zaczepiony broni się groźniejszymi od ostrych zębów pazurami.

Po skończonej Mszy św. wracamy do Musongati.

Po obiedzie O. Jan Kanty proponuje wycieczkę do Kur Imana Yoku Gisodzi, czyli do Ołtarza Kamiennego Boga. Droga ogromnie wyboista i bardzo niebezpieczna. Wąska i zawieszona nad przepaściami. O. Jan Kanty prowadzi wóz z wielką brawurą, tak, że czasem zdaje się, że wylądujemy nie przy Ołtarzu Kamiennego Boga, ale w skalistym wąwozie.

Jest bardzo gorąco, mnie jednak jest naprawdę zimno. Kierowca widząc moją przerażoną minę pyta:

- Boi się ojciec?

- Oczywiście!

I myślę sobie: Być rozszarpanym przez lwa lub zjedzonym przez ludożercę (nawet bez sałaty), to śmierć godna misjonarza, ale zginąć w wypadku samochodowym, to mogłem i w Polsce i nie potrzebnie po taką śmierć przejechałem 9.000 km!

Nie zginąłem jednak, bo skończyła się przejezdna droga i ostatnie kilometry trzeba było przejść pieszo.

Nad głęboką przepaścią stoi wysoka skała. Ze skały fantastyczny widok. Uroczysko wymarzone na spotkanie z Imanem! Przed skałą jakby kamienny ołtarz. Drogi do niego usłane trawą. Żeby sobie Kamienny Bóg stóp nie poranił! Trawa, ołtarz i skała są polewane bananowym piwem i zalatuje od nich zapach jakby z kuchennego zlewu. Na skale widnieją czerepy naczyń i puste tykwy. Tu schodzą się w pewne dni poganie i na cześć Imana Yoku

wylewają odrobinę piwa na ołtarz, część na skałę, ale potem można już pić do utraty przytomności. Czarni lubią piwo. Przychodzą nawet chrześcijanie. Potem biedacy oskarżają się ponoć przy konfesjonale, że „pili diabelskie piwo!”

Wracając do Musongati, spotykamy pannę Domicellę – katechistkę z naszej parafii. Ma nie tylko piękne rzymskie imię, ale piękniejsze chyba nazwisko. Bywa Yesu. Jestem Jezusa! Zaprasza nas do siebie. Korzystamy z tego, bo na ogół czarni niechętnie przyjmują białych w inzu. Domicelle ma sześć siostr i ani jednego brata. Ojciec siedmiu córek ma prawo opuścić swoją dotychczasową żonę i znaleźć taką, która by mu urodziła syna. Ale ojciec Domicelli jest prawdziwym katolikiem. Nie skorzystał ze zwyczajowego prawa. Dwie siostry Domicelli wyszły za mąż, czy ona sama dostanie męża – nie wiadomo. W wojnie domowej zginęło ponad 100.000 młodych chłopców. O. Jan chciał sprawić radość maluchom i zabrał ich do samochodu. Chyba – dwudziestu. My idziemy piechotą. Po drodze zrywam wężową pomarańczę i kosztuję! Jest okropna w smaku. Wszyscy się śmieją z mego łakomstwa, nawet Domicella.

Po drodze staruszki proszą o spowiedź. Mają daleko do kościoła. O. Teofil jest z nami, więc spowiada. Ale oto i dom Domicelli. Przed domem podwórze, gdzie na noc zapędma się krowy. Dobrze trzeba się schylić, by wejść do wnętrza inzu. Wchodzimy. I tu pierwsza niespodzianka. W głównym pomieszczeniu inzu dwa cielątka. Mama katechistki przynosi kokosową matę i kładzie nam pod nogi. Podaje dwa zydunki i zaczyna się rozmowa. Domicella, jej siostry, mama i goście siadają koło cielątek. Cielątka raz po raz liżą to Domicellę, to mamę, to gości. Wielkie muchy siadają na mojej łysinie. Domicella nie zna francuskiego, więc konwersację prowadzimy przez tłumacza, którym był O. Teofil. Kątem oka zerkam do drugiej izby. Na środku ognisko, wokół niego na ziemi trochę siana. Kilka kuchennych sprzętów i żelazna skrzynia na sukienki pięciu panien. Domek wyraźnie chyli się ku upadkowi. Stary ojciec nie może nadażyć z naprawą, a pannom, chociażby umiały to zrobić, nie wypada zajmować się robotą mężczyzn. To tak, jak gdyby w Polsce chłopiec robił serwetki na drutach.

Żywność przechowują w specjalnych spichlerzach, które początkowo wzięłem za ule. Świąteczne stroje w żelaznych skrzyniach. Bataty najlepiej konserwują się pod krzakiem, banany na drzewie. Sorgo, fasola, groch, suszony maniok – to podstawowe artykuły żywnościowe.

Cała rodzina otrzymuje srebrne medaliki na srebrnym łańcuszku, ale da się wyczuć, że większą sprawiłyby radość z piękną agrafką.

W samochodzie Murzyniątka natrzęsty pcheł, więc kłopotu sporo.

Po drodze wstępujemy do Sióstr Karmelitanek. Wysoki ostrokół, który ma chronić nasze siostry przed lwami, jest wysadzony urodziwymi słonecznikami. Prawie drzewa słonecznikowe, na trzy metry wysokie. Na każdym drzewie około 30 dużych kwiatów. Myślę sobie o jednej osobie z Warszawy, a właściwie ze Sewerynowa 8, która oddałaby królestwo za jedną pełną tarczę słonecznika. Ta miałaby tutaj raj. Kto wie, czy by jej nawet ananasy smakowały! Okazuje się, że amatorów na słoneczniki nie trzeba szukać na Sewerynowie. Są w Burundi. Ptaszki – podobne do naszych trznadli są tak łakome, że padają łupem kota z naszej misji, który, jak przystało na dobrze wychowanego dżentelmena, w domu bawi się z papużkami brata Marcelego, a na ptaszki poluje na posesji sióstr Karmelitanek!

Ze strachem myślę o kolacji, bo wczoraj s. Julianna zapowiadała psinę o smaku młodych kurczaków. Są tylko kurczaki (może tego Juliana czytać nie będzie) bez żadnego smaku!

Przed zachodem słońca kończę brewiarz i po kolacji wychodzi cała brać misjonarska w busz na wieczorny różaniec. Cudowna oprawa, niepowtarzalna sceneria naszej wieczornej modlitwy! Księżyc wypłynął na czyste, bez żadnej chmurki, niebo. Wieczność jest tak wspaniała, że Mpinga odległa od nas o 10 km, wydaje się być tuż za doliną. Nad kościołem jaśniej w całej wspaniałości tajemniczy Krzyż Południa! Przez Mleczną Drogę przewija się inna konstelacja: Okręt Argonautów, bardziej na południe jest widoczny Centaur, a poza linią Koziorożca – Rajski Ptak! Widzę również odwrócony Pas Oriona. A więc Afryka południowa, to nie tylko cudowna tropikalna flora, egzotyczna fauna, ale i na nieboskłonie nowe światy, iskrzące się hen, daleko, w bezmiarze granatowego nieba. Aż jakiś niewytłumaczalny lęk ogarnia człowieka, czy nie za daleko przyjechał, czy ja to z ziemi jeszcze oglądam, czy też może z zaświatów!

Nocą step intensywnie pachnie. Pachnie i śpiewa. Jest pełen śpiewających świerszczy. Ich śpiew podobny jest do świergotu naszych błękitnych sikorek. W tym wieczornym koncercie pomagają świerszczom polne koniki i ptaki – czuwajki. Nie jest to nazwa ornitologiczna, tylko ich śpiewanie wciąż się powtarza: czuwaj, czuwaj, czuwaj! Z daleka dolatuje zapach drzewa orchideowego, a z doliny aż za intensywna woń storczyków. Pachnie również akacja, pachną mimozy i stepowe kwiaty, bo to teraz wszystko na potęgę kwitnie.

Roje robaczków świętojańskich, jak iskry sztucznych ogni przelatujących nad nami. Nasz różaniec włączamy w powszechną modlitwę rozmodlonego stepu i mrugających na firmamencie niebios gwiazd...

Przypomina mi się polska kolęda, która opisuje piękno betlejemskiej nocy:

„Cicho wszędzie, śpi świat cały cichym snem ujęty

A na niebie gwiazdy grały hymn dla Boga święty.”

Nie mniej piękna jest i równikowa noc.

Na misjo zastajemy śpiącego Sabę. Dlatego może O. Jan Kanty długo chodzi po ogrodzie, bo zna miejscowe przysłowie, które powiada, że „jak pies śpi w budzie, to pan musi siedzieć pod drzewem” Izotanye ziarambama imiyota! Afrykańskie fruujące psy znowu przyszły na słodki groszek!

List powyższy piszę przy świecy, a ponieważ się świeca kończy, więc i ja również kończę i serdecznie pozdrawiam wszystkich przyjaciół karmelitańskiej misji w całej Polsce.

Bogusław Woźnicki

Listy S. Zygmunty:

Musongati – kwiecień 1976

Drodzy Przyjaciele Misji!

Ukochane Siostry!

Na wstępie pragnę serdecznie podziękować za pamięć i modlitwy, za życzliwość i troskę.

W tej chwili siedzę w prawdziwym pokoju, z normalnym oknem, przy prawdziwym stoliku... Ojcowie Karmelici zbudowali nam prawdziwy dom...Z okien widać góry... szczególnie piękne przy zachodzie słońca.

Domek nasz znajduje się na uboczu, z dala od gwaru, wcale nie przypomina Burundi. Jedynie szum w uszach i znużenie po całodziennej pracy – przyjąłm dziś około 300 pacjentów – przypomina mi, że to jednak Afryka. Także latarka, przy której piszę oraz brzęczenie komarów, które mnie napadają tak, że co chwila muszę się oderwać i robić polowanie za ścierką, bo jak komar ukłuje, to albo trzeba łykać nowokainę albo gorączka.

Ostatnio spotkały nas dwa doświadczenia, w których Opatrzność Boża okazała swoje miłosierdzie.

Kilka tygodni przed świętami Wielkanocnymi Ojcowie nasi w Mipinga dostrzegli, że drzewo, na którym zawieszony jest dzwon kościelny – wali się.

Trzeba więc było zdjąć dzwon przed ścięciem drzewa, bo mógł się zwalić na ludzi. zabrali się więc do pracy. Jeden z pracowników usiłował zdjąć dzwon, ale nie mógł. Wszedł więc O. Teofil na drzewo, dokonał dzieła, ale przy spychaniu drzewa – spadł z wysokości mniej więcej 8 m.

Opatrzność Boska czuwała – nie zabił się. Potłuczona i rozcięta głowa, potłuczone żebra i nogi. Powoli wraca do zdrowia. Już chodzi na jednej nodze przy pomocy kuli. Na Wielkanoc odprawił Mszę św., ale bardzo się zmęczył.

Niedawno znów – ofiarny bez granic br. Marceli, wszedł do nowego zbiornika na wodę, by go pokryć warstwą chemolaku i tak został odurzony tym przykrym zapachem, że prawie był nieprzytomny. Po udzieleniu pierwszej pomocy wyciągnięto go na zewnątrz i po jakimś czasie odzyskał przytomność. Znów dobroć Opatrzności Bożej.

Innym wydarzeniem – to zawalenie się naszego „Ośrodka Zdrowia” – budy podobnej do kopki siana, przed którą s. Bogumiła zapisywała dzieci na dożywianie.

„Chorujemy” wprost na jakieś pomieszczenie, w którym można by zatrzymywać dzieci małe, by je podleczyć i dożywić. Przychodzą mamy na dokarmianie dzieci, ale jakże biedne dziecko, gdy mama nie ma dla niego własnego pokarmu.

Miałyśmy przez trzy tygodnie dziecko tak chude, jak ptaszek wyrzucony z gniazdką. Dziewczynka trzymiesięczna ważyła tylko 2 kg. Po śmierci swej mamy przy jej urodzeniu przygarnęła ją babcia. Zostawiła ją u nas, bo była konająca i babcia więcej się nie pokazała. Na pewno obserwowała z daleka, jak przerywam pracę, by nakarmić małą mlekiem z Polski. Po tygodniu zgłosił się ojciec dziewczynki, prosząc, by mu jej nie oddawać.

Przez trzy tygodnie nosiłyśmy ją do punktu sanitarnego, gdzie pracuję i znowu do domu. Początkowo wyglądała jak więzień oświęcimski. Jadła za dwoje i po trzech tygodniach przybrała kształty normalnego człowieka i ważyła już 3 kg. Została u nas ochrzczona i otrzymała imiona: Maria – Józefa. Jej chrestną matką była s. Zenobia. Potem została odwieziona do „Centrum dla dzieci”.

Takich przypadków mamy sporo na porządku dziennym. Przychodzą matki po mleko, a po jakimś czasie dowiadujemy się, że już dziecko nie żyje.

Inny przypadek. Pielęgniarka – Murzynka, która pracuje ze mną, zachorowała. Innym podaje lekarstwa europejskie, ale sama udała się do czarownika. W bardzo ciężkim stanie przywiozłam ją do naszego Ośrodka Zdrowia i wyleczyłam. Tylko Pan Bóg wie, jak trudno wytłumaczyć tutejszym ludziom zasady higieny i inne sprawy.

Bardzo proszę o modlitwę w naszej intencji i o zdrowie dla brata Marcelego, by mógł jak najszybciej zabrać się do budowy szpitalika, byśmy mogły jeszcze skuteczniej pomagać ludziom.

Za wszystko z całego serca dziękuję, niech Boskie Dzieciątko Jezus błogosławi wszystkim, którzy nam tak ofiarnie pomagają.

Z Bogiem

S. M. Zygmunta Karmelitanka Dzieciątka Jezus

Musongati, 8.09.1976 r.

Ukochane Siostry!
Ukochani Przyjaciele Misji!

Tydzień Misyjny – to okres, kiedy więcej niż kiedy indziej myślimy wzajemnie o sobie. Wy tam, w kraju, a my w miejscu pielgrzymki na Czarnym Łądzie.

Z okazji tego tygodnia pragnę podziękować za współpracę. Myślimy o Was codziennie, bo właśnie możemy pracować dzięki Waszym lekom i innym materiałom, którymi podzieliliście się z nami. Możemy ubierać obdartusów, bo otrzymaliśmy od Was odzież. Możemy dokarmiać dzieci mlekiem, które od Was przyszło. To Waszymi igłami szturchają niezdarnie dziewczęta w szkółce S. Bogumiły. Także Waszymi agrafkami dekorują piersi dzieci i dorośli, by w razie potrzeby przyjść na pomoc zaatakowanym przez pchełki stopom.

Nie mam możliwości napisania do każdego z Was z osobna, Bóg mi świadkiem, bowiem tłumy chorych oblegają nasz punkt misyjny od rana do wieczora. Pracujemy jeszcze w bardzo prymitywnych warunkach, ale pracujemy, bo mamy w ręku broń – leki. Wasze leki.

Lżej chorzy dochodzą na nogach, a ciężkie stany donoszą w opałkach z przymocowanymi drążkami (Pogotowie ratunkowe). Leżą oni w pokoiku na 5 łózkach jak śledzie, jeden obok drugiego, radzi, że dostali kawałek ziemi pod dachem. Chcąc ich badać, chodzę koło nich jak bocian. Jedną z oznak polepszenia zdrowia jest to, że wychodzą na zewnątrz i siedząc w kukki wygrzewają się na słońcu.

Tłumy chorych zwiększają się z dnia na dzień także z tego powodu, że nasi pacjenci jeszcze nie dorośli do tego, by im dać leki do domu.

Przychodzą je zażywać na miejscu. Kilka razy próbowałam dać lekarstwo do domu i choć chory przytakiwał, że dobrze zrozumiał, jak ma lek zażywać (a nawet powtarzał), to jednak na drugi dzień lub zaraz zjadał wszystko naraz. Ale to nic, powoli rozumieją. Trzeba będzie jeszcze całych lat pracy. My zaczynamy, a inni będą na tym budować i doskonalić.

Nie mały problem mam z matkami, które są przekonane, że trzeba dać dziecku codziennie lewatywę, ale jak? – ucierają liście roślin, zaparzają i własnym sposobem wprowadzają dziecku do brzuszka. I jaki skutek? Dziecko czyści. Jeśli dziecko jest silne – przetrwa, ale jeśli już ma biegunkę, to przynosi je do mnie w stanie najwyższego odwodnienia i zatrucia. A matka nie chce wierzyć, że mu zaszkodziła, tylko chce jeszcze powtarzać leki czarodziejskie, bo wierzy, że dziecko wyssało chorobę z jej piersi lub ktoś rzucił „czar”. Kilkadziesiąt metrów od nas mieszka czarownik. Zbieramy więc owoce jego pracy. Przyjmuje ludzi w nocy, a rano przychodzą chorzy do mnie ze skórą ponacinaną w przeróżne desenie.

Powoli szkolimy grupę chłopców i dziewcząt, którzy już zaczynają pomagać nam w obsłudze chorych. Oni lepiej rozumieją swoich. Dla nas to są takie tajemnice i zwyczaje, że trzeba by chyba zjeść „beczkę soli,” aby je rozgryźć. Np. dzisiaj miałam chorego ze zwichniętym barkiem i aby go zbadać kazałam mu zdjąć koszulę, a on się tak obraził, że wolał odejść bez udzielonej pomocy. Twierdził, że to nie było moralne, bo patrzyło na to może 5 osób. I jak to pojąć, skoro chodzą na pół nago. Takich historyjek mamy na każdym kroku dziesiątki.

Żegnam Was Ukochani i dziękując za wszystko życzę, aby nie zabrakło Wam siły w kraju i nam tutaj w pracy misyjnej, byśmy mogły kontynuować opiekę nad chorymi, a oni kiedyś mogli się cieszyć choć małym szpitalikiem.

Złączona z każdym z Was w Boskim Dzieciątku Jezus

S. M. Zygmunta od Jezusa
Karmelitanka Dzieciątka Jezus

Listy O. Jana Kantego:

Musongati 24.04.1976

+ Kochani i Najdrożsi,
wszyscy moi Kochani Krewni, Przyjaciele, Siostry i Współbracia!

Bardzo mi ciężko zabrać się do pisani tego listu, gdyż naprawdę pali mnie wstyd i przygnębienie poczucie winy. Najmilsi, wiem, że niektórzy z Was zwątpili w to, że wreszcie napiszę, a co najgorsze, ja sam już zacząłem w to wątpić.

Zacząłem wprawdzie pisać parę razy od czasu mego przyjazdu z Polski w lutym ubiegłego roku. Jeden raz napisałem już dość dużo. Ale nigdy nie zdołałem skończyć listu, a po dłuższej przerwie nie widziałem możliwości kontynuowania tego, co zacząłem. Teraz postanowiłem nie wstawać od stołu przed skończeniem tego listu. Chcę, żeby jutro O. Eliasz zabrał go do Polski.

To, co najbardziej mnie martwi, to świadomość, że wielu z Was na skutek mego długiego i brzydkiego milczenia sądzi, że jestem chory, że źle mi się wiedzie i nie chcę o tym pisać, że przeżywam jakiś kryzys, że się załamam itd.

Najmilsi! Naprawdę nie kłamię: dziękuję Panu Bogu, że jestem zdrowy, że taką radość czuję w serce, że czasem dosłownie skaczę z radości!

Dokucza mi naprawdę – jak chyba nigdy - brak czasu, czy może raczej nieumiejętność dobrego nim gospodarowania. Często nie umiem znaleźć go na rzeczy najważniejsze, nawet na pisanie listów. A pisanie listów do Was uważam też za swój poważny i miły obowiązek.

Proszę o rozgrzeszenie i chcę naprawdę, naprawdę się poprawić.

Ostatni list pisałem w drodze do Polski, późną jesienią 1974r. Donosiłem w nim, że zmarła moja śp. Mama. Nie wspomniałem, że śmiertelnie chorą była moja młodsza siostra Marysia. Większość z Was wie o tym, że zmarła Ona w styczniu ubiegłego roku, podczas mojego pobytu w Europie.

Najmilsi! Te bolesne wydarzenia w mojej rodzinie, rzecz jasna przeżyłem głęboko i nie ukrywałem, że cierpiałem bardzo. Nie wiedziałem, że tak bardzo się cierpi z powodu śmierci Najbliższych człowiekowi Osób.

Z drugiej strony jednak doświadczyłem na sobie tego, o czym zawsze byłem przekonany, że cierpienie nie musi odbierać pokoju ducha, że może być nawet źródłem radości.

Niezmierną radością była dla mnie i jest nadal świadomość wartości tych drogich mi Osób i wiara, że są już blisko Pana Boga. Następnie jestem naprawdę dumny z postawy całej mojej Rodziny: naprawdę więcej się teraz modlę za Was niż przedtem i więcej za Was dziękuję Panu Bogu! Miałem też okazję raz jeszcze doświadczyć serdeczności, dobroci i prawdziwej przyjaźni Was wszystkich: mych Sióstr i Współbraci zakonnych i Wszystkich Przyjaciół.

Nie umiem wyrazić tego co czuję, jak bardzo się Wami cieszę, jak bardzo Panu Bogu dziękuję, jak bardzo czuję się z Wami zjednoczony i jak bardzo mi pomaga Wasza przyjaźń, jaką znajduję w mej Rodzinie, Rodzinie zakonnej oraz pośród bardzo wielu innych Drogich mi Osób. Jest bardzo wielką łaską mi udzieloną.

Mój pobyt w kraju był dla mnie naprawdę wielką radością.

Cierpiałem tylko, że nie mogłem każdemu z Was poświęcić więcej czasu, że z wielu osobami nie zdołałem się nawet zobaczyć, zwłaszcza z tymi, którzy mieszkają poza Poznaniem.

Po powrocie do Burundi, do Musongati – jak już wspomniałem – nie mogłem i nie mogę (wraz z pozostałymi Współbraćmi) narzekać na brak zajęć. Proszę sobie wyobrazić parafię z dziesięcioma tysiącami wiernych, z kilkunastu setkami katechumenów, z 15 tysiącami pogan, którzy uważają się za potencjalnych katechumenów i chrześcijan. Poza wszelką pracę duszpasterską na misji i stacjach misyjnych dochodzą tysięczne inne zajęcia...

Najmilsi! jest już godzina 1.40 w nocy, a jutro (czy raczej dziś rano) trzeba będzie jechać na stację misyjną do Shangii. Za późno zabrałem się do pisania listu. Nic mi się nie „klei”, tylko kleją mi się oczy! Nie będę więc przedłużał. Postaram się jednak wkrótce napisać. Mam nadzieję, że po złamaniu mego milczenia i po otrzymaniu Waszego przebaczenia da mi się to łatwiej skutecznić. Zbyteczne wspominać, że zawsze się za Was modlę, że zawsze o Was pamiętam i dobrze Wam życzę.

Polecam Was wszystkich Panu Bogu i bardzo, bardzo serdecznie pozdrawiam

Wasz brat Jan Kanty

Mój adres: O. Jan Kanty Stasiński
Mission Musongati
D. S. 19. Bujumbura
BURUNDI – Afrique

Listy O. Teofila:

Mpinga, czerwiec 1976

+ Drodzy Przyjaciele!

„W kraju mówią, że O. Teofil ma połamane nogi i ma wrócić do Polski” (z listu O. Eliasza Trybały).

Otrzymuję coraz więcej pełnych niepokoju listów. Z konieczności więc zabieram się do listu, w którym pragnę Was wszystkich bardzo serdecznie pozdrowić oraz zapewnić, że żyję i że na razie do Polski się nie wybieram. „Chciałaby dusza do rajy...”.

To prawda, że kiedyś (29 marca) spadłem z drzewa, ale to było dawno i nie było żadnego złamania.

„A po coś tam laź?” – pytają niektórzy. Zapewniam więc uroczyście, że ani za małpami, ani za gruszkami po drzewach nie biegalem. To przecież ani wiekowi, ani urzędowi nie przystoi.

Po co więc tam laźłem? Chociaż nie wypada pisać za dużo o sobie, to gwoli Waszej ciekawości wszystko wyjaśnię: Były sobie w Mpinga przy kościelnym placu dwa wysokie eukaliptusowe drzewa. Na tych drzewach zawieszono dzwon. Taka urocza dzwonnica, chyba jedyna w kraju. Niestety, jedno z tych drzew podgryzły termity. Zaczęło się chylić. Była obawa, że kiedyś niespodziewanie spadnie na przechodzące szkolne dzieci lub na wychodzących z kościoła ludzi. Przy okazji zniszczyłby się dzwon. Postanowiono zatem dzwon usunąć, a drzewo zwalić. Poszedłem zobaczyć, jak idzie robota. Oj, ta ciekawość! Właśnie zszedł z drzewa robotnik, który odkręcił dzwon i umocował go do metalowej liny. Należało jeszcze zsunąć dzwon z metalowej podstawy, tak, aby zawisł na linie. Na to jednak robotnik nie miał już siły. Zaproponowano mi wejście na drzewo. Jako, że w młodości chodziło się po drzewach i jako, że nie mam lęku przestrzeni, wyszedłem na drzewo. Dzwon udało się zepchnąć, ale w tym momencie coś się stało i... znalazłem się na ziemi. No cóż, nawet najsprytniejszemu może się coś takiego zdarzyć. Spadłem z wysokości 8m i to głową w dół, ale jakimś cudem spadłem na nogi. Przy okazji zadrapałem nieco skórę na głowie, było troszkę krwi i bardzo dużo atrakcji. Zaraz rozeszła się wieść po osadach, że O. Teofil nie żyje. Była to wymowna ilustracja do prawdy, którą jakoś szczególnie podkreśliłem w tegorocznych rekolekcjach wielkopostnych: Czuwajcie, bo nie wiecie dnia ani godziny.

Niestety, serii rekolekcji dla mężczyzn, którą miałem rozpocząć następnego dnia, nie mogłem już podjąć, bo noga, chociaż nie złamana, to jednak spuchnięta i nie można było na

niej chodzić. Poleżałem trochę, wykorzystując czas na osobiste skupienie i na czytanie książek. Co za luksus! I to w czasie, kiedy inni mieli tyle pracy.

W tym czasie przyjechał do nas pan „Szwagier” O. Sylwana, a że zna się na obróbce drzewa, zrobił dla kaleki wspaniałą kulę. W Niedzielę Palmową mogłem już odprawić Mszę św.

Powtarzano mi wiele razy, niby żartem, że jeszcze nie dojrzałem do nieba. Sam dobrze wiem, a jeszcze lepiej wie Dobry Bóg, ile w tym rzeczywistej prawdy. Trzeba więc jeszcze „podróżować” po ziemi i dojrzewać.

Po Świątach (20 kwietnia) pojechałem do stolicy, by nogę prześwietlić dla uspokojenia Współbraci. Okazało się, że kość nie była nawet pęknięta, tylko jakieś naderwanie czy zmiżdżenie mięśni. Należało nogę trochę elektrycznie łaskotać i smarować maściami. Dlatego posiedziałem nieco w Musongati. Przy okazji mogłem być na imieninach S. Zygmunty (2maja). Udały się imieniny, chociaż Solenizantka nie mogła wiele czasu gościom poświęcić, mimo, że była to święta niedziela. Już przed południem miała do ratowania jakieś chore dziecko. Trzeba było zostawić niedojedzoną zupę dla ratowania życia. Na wszelki wypadek, proboszcz parafii, O. Jan Kany dziecko ochrzcił. Po obiedzie nowa afera: przyniesiono 6 osób zatrutych – cztery kobiety i dwoje dzieci. Cóż się stało? Byli u czarownika, który im dał lekarstwo przeciw nieszczęściu, które jakoby miało im grozić. Nie, nie byli chorzy, ale na wszelki wypadek o wschodzie słońca wypili lekarstwo, czyli jakiś wywar z kory drzewnej i ziół. Już przed południem dwu mężczyzn zmarło, a kobiety i dzieci czuły się coraz gorzej. Przyniesiono je do S. Zygmunty. Przyprawiono także związanych czarowników i przyniesiono pełne kosze kory i ziół oraz różne „narzędzia” używane przy czarowaniu. W towarzystwie licznych gapiów, do których (przyznaję się szczerze) sam należałem, zaczęło się ratowanie zatrutych: spowodowanie wymiotów, zastrzyki, kroplówki. Przed ośrodkiem zdrowia zbudowano ostatnio „poczekalnię” – taki prosty dach z kawałków starej blachy na wkopanych w ziemię słupach. Nędzne to, ale chroni czekających przed słońcem i może trochę przed deszczem. W tej poczekalni rozłożono maty. Było zatem gdzie złożyć zatrutych i zastosować kroplówki. Do późnego wieczora S. Zygmunta nie odstępowała chorych. Poczuli się dobrze. Jeszcze w nocy będzie trzeba do nich zaglądać.

Takich niedzieli „wolnych od pracy” ma S. Zygmunta wiele. A w poniedziałek znów przyjdą chorzy. Jeżeli to będzie zwyczajny dzień, będzie ich od 150 do 300. Ale jeżeli na dodatek trzeba organizować szczepienie dzieci lub dokształcenie matek w kwestii opieki nad chorymi dziećmi – to pracy będzie ponad miarę. Na dodatek jest to praca w bardzo prowizorycznych warunkach, do których żadną miarą nie może się na razie przyzwyczaić nasza nowa pielęgniarka S. Lucyna. Na razie nie może się na całego włączyć do pracy w ośrodku, bo jeszcze musi przejść kurs języka kirundi, ale już powoli się „wciąga”; kiedyś np. w ciągu dnia sama zaszczepiła 482 dzieci. Tak na co dzień, to segreguje i układa lekarstwa, te bezcenne lekarstwa z Waszych, Drodzy Przyjaciele, paczek i paczuszek. Naprawdę to bezcenne skarby! Cóż by Siostry zrobiły bez tej Waszej pomocy? Niech Wam Bóg wynagrodzi stokrotnie! Jakże szczęśliwe Musongati, że ma Siostry i że ma takie zaplecze miłości!

Wróćmy jednak do tematu. Jak sami widzicie, wcale nie mam połamanych nóg i nie zamierzam na razie wracać do Polski. A na dowód, że wcale nie jest tak źle jak fama niesie, zdradzę Wam, że 18 maja pojechałem z br. Marcelim i O. Janem Kantym do Rwandy i Zairu.

Na zaproszenie Nuncjusza Apostolskiego pojechalismy tam glównie dla zobaczenia organizowanych tam „silosów”. Są to specjalne budowane zbiorniki, w których przechowuje się sorgo, groch, fasolę... skupione od ludzi w okresie zbiorów i odsprzedane tym samym ludziom, po tych samych cenach, w okresie głodu. Są to zatem takie specjalne „banki ziarna”. Wielka to pomoc dla ludzi, którzy nie mając gdzie zabezpieczyć ziarna przed robactwem, sprzedają je za bezcen w okresie zbiorów, a na przednówku kupują od spekulantów po cenach trzy albo cztery razy wyższych. Marzymy o takich „silosach” w naszych parafiach.

Przy okazji tej podróży odwiedziliśmy polskich księży Pallotynów, pracujących w trzech parafiach na terenie Rwandy. W Kigali odwiedziliśmy siostry Karmelitanki Bose, które na 23 siostry mają już 19 sióstr miejscowych. Ponieważ z Rwandy już tylko krok do Zairu, wpadliśmy do hiszpańskich Karmelitów Bosych, pracujących w diecezji Goma. Takie spotkanie i wymiana doświadczeń dają bardzo dużo.

Ulegliśmy też pokusie i zwiedziliśmy Narodowy Park Kagera w Rwanda. Park pięknie położony w górzystej okolicy z jeziorami. Zwierząt afrykańskich bez liku. Nawet 12 lwów spotkaliśmy.

Na zwiedzanie Parku Alberta w Zairze nie starczyło już czasu. Trzeba było wracać do pracy. Wróciliśmy 1 czerwca. Czekają nas święta: Zesłanie Ducha Świętego, Uroczystości Bożego Ciała i Jezusowego Serca. Czekają nas egzaminy katechumenów. Br. Marcelli postawił fundamenty pod dwie sale i biuro naszego przyszłego katechumenatu w Musongati. Musi się spieszyć z budową, bo jeszcze obok domu sióstr musi wybudować garaż i pralnię. Musi też pomyśleć o wypalaniu cegły i przygotowaniu materiałów na przyszłe budowy. Jesienią wybiera się na kurs języka kirundi.

W Mpinga także, oprócz pracy duszpasterskiej, wiele zaplanowano na wakacje. Trzeba koniecznie zmienić dach na kaplicy w Kiguhu, trzeba odbudować dom księdza w Nyamiyaga, trzeba umeblować foyer social, a także zmienić część dachu na szkole w Mpinga. Może uda się także wybudować wieżę przy kościele i umieścić na niej ten nieszczęśliwy dzwon. Jest jeszcze wiele innych prac i oczywiście koniecznie wypalanie cegły, co można robić tylko w porze suchej.

Nie zdziwcie się zatem jeżeli w czasie wakacji nie zdobędę się na nowy list i będę milczał uparcie. Na razie trochę na wolniejszych obrotach pracuję, więc znalazła się chwila na list, w którym jeszcze raz zapewniam, że jesteśmy z Wami wszystkimi bardzo wdzięcznym sercem i gorącą modlitwą.

Dodam jeszcze, że niecierpliwie czekamy na nowych misjonarzy. Spodziewamy się w tym roku trzech ojców karmelitów. Daj Boże, by w Polsce znaleźli się jeszcze inni! Może ks. prof. Feliks Zapłata, który przez trzy tygodnie przypatrywał się tutejszemu młodemu Kościołowi, zdoła przekonać Kościół w Polsce, że jeżeli gdzie w Afryce, to przede wszystkim w Burundi, potrzeba misjonarzy. Prawda, że w Rwandzie także, ale wydaje się, że tam sytuacja jest lepsza. Parafia lepiej obłożona. Na każdej misji i niemal na każdej stacji misyjnej mają już pełne szkoły i ośrodki zdrowia. Jest też dużo szkół średnich, a zatem jest też nadzieja na coraz więcej powołań kapłańskich i zakonnych. W ogóle widać, że coś się dzieje w tym kraju, że gospodarka stoi wyżej niż u nas. Na dodatek u nas dużo mniej kapłanów i misjonarzy, a tak bardzo ich potrzeba. To nic, że w Burundi już tak wysoki procent ochrzczonych. Właśnie to ochrzczeni potrzebują kapłanów i to zaraz, bo za kilka lat nie

tysiące, ale miliony Burundczyków pójdzie za chlebem do sąsiednich krajów. Jakże ważne, by poszli z wiarą ugruntowaną. Tę naszą troskę polecam Waszym codziennym modlitwom!

Na koniec bardzo dobrych i miłych wakacji z całego serca Wam życzę!

Szczęść Boże!

Wasz sercem oddany w Panu
br. Teofil St. Kapusta OCD

O. Teofil St. Kapusta
D. Sp. 119 – Bujumbura
Mpinga
BURUNDI – Afrique